Robert Arnette (Paul W. Fairman[1])

Imperium zła

(Darrien #1)

(Empire of Evil)

Amazing Stories, January 1951
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

[1] W niektórych źródłach (np. ISFDB) autorstwo „Empire of Evil" przypisywane jest Rogowi Phillipsowi. Jednak Robert Silverberg w przedmowie do kontynuacji tego utworu, mikropowieści „Cosmic Kill" (R. Silverberg, In the Beginning. Tales from the Pulp Era, Subterranean Press, 2005), w sposób wyraźny i nie budzący wątpliwości stwierdza, że autorem jest Paul W. Fairman.

I

Niebieski Merkurianin, bijący arogancją z każdego cala swojego pokrytego skorupą ciała, prowadził po ulicy białą Ziemiankę. Ziemianka była praktycznie naga. Szła ze zwieszoną głową, opadającymi ramionami – istota wyzuta z nadziei. Owinięty wokół jej smukłej talii sznur, za który Merkurianin ją ciągnął, spowodował okrutne, koliste otarcie na jej, w innych miejscach gładkiej, brązowej skórze.

Dziewczyna potknęła się, a Merkurianin szarpnął bezlitośnie za linę, gdy para wenusjańskich wojowników Darriena zatrzymała się, by uśmiechnąć się i położyć lubieżne ręce na ciele kobiety.

Merkurianin warknął i odciągnął dziewczynę.

— Moja! — splunął i położył rękę na pistolecie zam, wiszącym mu u pasa. Pchnął dziewczynę za siebie i stanął twarzą w twarz z dwoma Wenusjanami, gotów zabijać lub zostać zabitym w obronie swojej rzadkiej zdobyczy.

W normalnych warunkach, doszłoby tu do szybkiej śmierci – albo jeden Merkurianin rozlewałby na chodniku swoją zieloną krew, albo dwóch Wenusjan, leżałoby w pośmiertnym stężeniu, z czarnymi ogonami, drgającymi i bijącymi na wszystkie strony. Wenusjanie, którzy uważali się za arystokratów ohydnej armii Darriena, już niejednokrotnie odbierali łupy towarzyszom broni z innych planet. A ta młoda dziewica była naprawdę godną zdobyczą.

Ale Wenusjanie byli w tej chwili nasyceni. Ich brzuchy pełne były surowego mięsa i rozgrzewającego trunku Bizant. Zaśmiali się więc i ruszyli dalej, ku zaskoczeniu Merkurianina.

Ron Kratnick, siedzący przy stoliku w pobliskiej kawiarni, walczył z samym sobą, jak nigdy dotąd; walczył o to, by utrzymać na wodzy swą wściekłość – walczył o to, by nie skoczyć do przodu i nie strącić kopulastej głowy Merkurianina z ramion. W myślach Rona jaśniała wizja tego, co miało się stać z tą dziewczyną. Najwyraźniej świeżo przybyła z Ziemi, prawdopodobnie z Ameryki, bez wątpienia została porwana w jednym z najazdów sił Darriena i, zgodnie z kodeksem Darriena, była łupem uczciwie przynależnym niebieskiemu merkuriańskiemu żołnierzowi.

Ron Kratnick wzdrygnął się w duchu na myśl o Darrienie, tym arcyłotrze wszechświata; myślał o diabelskim sprycie tego człowieka, widocznym w odkryciu jedynej rzeczy, która mogła sprawić, że jego międzyplanetarna armia walczyła jak opętane tygrysy – obietnicy, że ziemskie kobiety staną się ich własnością, którą będą mogli wykorzystywać tak jak im się podoba. Dla dziewczyny, bez wątpienia, lepiej by było, gdyby już nie żyła.

Ale Ron powstrzymał się, przywołując w głowie słowa Blake'a Wentwortha, Szefa Wywiadu Wszechświatowego:

— Na Wenus zobaczysz wiele strasznych rzeczy, Kratnick. Krzywdy wyrządzane naszym kobietom i jeńcom, które sprawią, że krew ci się zagotuje i prawie pozbawią cię rozumu. Twoja zdolność do panowania nad sobą, będzie wyznacznikiem twojego sukcesu lub porażki. Kiedy zobaczysz gwałconą lub torturowaną dziewczynę, musisz pamiętać, że nic nie możesz dla niej zrobić – że twoja lojalność należy do milionów ludzi, tutaj na Ziemi – że twój sukces będzie oznaczał dla nich ratunek. Kiedy dostaniesz się na Wenus, musisz zamknąć oczy na wszystko, poza twoim głównym celem.

— A jaki jest ten cel? — spytał Ron. Został wezwany z misji w Afryce i przybył do Chicago, nie mając pojęcia jakie będą jego rozkazy.

Blake Wentworth, bardzo sprawny, ale obecnie bardzo znękany szef wywiadu, uśmiechnął się z goryczą.

— Dojdę do tego, ale najpierw pozwól, że zarysuję ci tło całej sprawy. — Uśmiech Wentwortha zmienił się w czystą gorycz, gdy porwał papierosa z popielniczki na swoim biurku. — Większość z jej elementów znasz już, oczywiście, więc potraktujmy to po prostu, jako lekkie spuszczenie pary z mojej strony. Człowiek musi od czasu do czasu się wygadać, bo inaczej wszystko się w nim gromadzi i w końcu go rozsadza.

— Rozumiem, proszę pana.

— Do pewnego stopnia, niewykluczone, ale nie możesz wiedzieć, co czuję. Nie możesz tego wiedzieć, ponieważ nie byłeś na świeczniku – biorąc na siebie zniewagi za błędy popełnione przez innych.

W uśmiechu Rona widać było współczucie.

— Jestem dobrym słuchaczem, proszę pana.

— Problem z tą planetą, Kratnick, polega na tym, że byliśmy zbyt zarozumiali. Naród wybrany i cała ta głupia zgnilizna. To przychodziło stopniowo, oczywiście. Mając najbardziej zaawansowane mózgi we wszechświecie, byliśmy naturalnie lepsi od barbarzyńskich ludów, które znajdowaliśmy na innych planetach. Nasza wiedza techniczna była tak zaawansowana, że nie mieliśmy problemów z kontrolowaniem ich. Z czasem zaczęliśmy się uważać za paternalistycznych władców wszechświata. Członkowie Wysokiej Rady podnosili swoje tłuste tyłki i opowiadali godzinami, jak to niebiescy Merkurianie, Wenusjanie i Marsjanie kochają nas i szukają w nas przewodnictwa.

Był to najwyraźniej temat bliski temu co leżało Wentworthowi na wątrobie, ponieważ zgniótł papierosa na popielnicy, a jego oczy rozbłysły.

— Kochali nas! Każdy głupiec, dysponujący choćby jednym zdrowym okiem, mógł dostrzec, że nienawidzili nas do szpiku kości, zazdrościli nam naszych osiągnięć, a po kłach aż im spływała ślina na myśl o złapaniu nas za gardło.

Ron nic się nie odezwał. Wydawało się, że nie ma nic do powiedzenia. Wentworth popatrzył ponuro na swojego podwładnego, tak jakby uważał to za jego winę, po czym kontynuował:

— Potem wymyśliliśmy ten zgniły plan pozbycia się naszych własnych śmieci i szumowin. Posłać ich na Wenus! Zebrać naszych gangsterów, degeneratów oraz morderców i zrzucić ich na głowy Wenusjan, a jeśli Wenusjanom się to nie spodoba – do diabła z nimi! Pamiętam, jak pewien

nadęty dupek hipokryta, o nazwisku Lanson, wysunął taką sugestię w Wysokiej Radzie. Pamiętam dokładnie jego słowa!

Wentworth nieświadomie sparodiował głos i postawę typowego dobrze spasionego polityka:

— Drodzy współobywatele, czemu słodkie powietrze Ziemi ma być zanieczyszczane oddechem takich jak oni? Wyślijmy ich na spotkanie z ich własnym gatunkiem – dzikusami w czerwonych dżunglach Wenus. Niech ta parna czerwona planeta wypełni przeznaczenie, dla którego została stworzona – niech stanie się naszą kolonią karną.

Szef Wywiadu przerwał, żeby złapać dech, i Ron poczuł się zobowiązany do powiedzenia czegoś.

— To było dość dawno temu. Byłem wtedy tylko dzieckiem.

— Tak samo i ja byłem jeszcze młodym człowiekiem, kiedy położony został ten fundament pod dzisiejsze piekło. Ale byłem już w Służbie, gdy Darrien po raz pierwszy wychylił swój parszywy łeb i kiedy trzeba było się z nim rozprawić.

— To pamiętam wyraźnie — stwierdził Ron. — To był duży temat w gazetach. Po dwóch jego próbach obalenia rządu pamiętam, że podniósł się wielki publiczny raban, na rzecz jego egzekucji.

— Byłem częścią tego rabanu — odpowiedział ponuro Wentworth. — Stanąłem przed komisją Rady i zeznawałem, że niezależnie od ogólnego zepsucia Darriena, ma on jeden z największych umysłów wszechczasów; że wysyłając go do kolonii karnej Wenusji, zasiewamy możliwe ziarna naszej własnej zagłady.

— Ale i tak go tam wysłali.

Nastrój Wentwortha zmienił się z pełnego ognia, w ponurą porażkę.

— To prawda. Moje słowa nie przyniosły efektu i Rada poszła za płaczliwymi babami i tak zwanymi humanitarystami. W rezultacie uruchomiliśmy bombę zegarową, która właśnie teraz wybucha. Darrien od razu zabrał się do roboty. Z tego, że pewni ludzie są przestępcami, nie wynika, że nie mają rozumu. Darrien przeczesał szamba wszechświata i znalazł umysłów na pęczki. W ciągu dziesięciu lat stworzył machinę wojenną, która przyparła nas plecami do ściany. Zbudował najbardziej okrutną armię, jaka kiedykolwiek istniała, oferując zaciąganym żołnierzom nasze kobiety jako nagrodę.

Teraz przyszła kolej na Rona, aby lekko zmarszczyć brwi.

— Ale, panie komendancie, przecież my nie jesteśmy tak zupełne bezradni. Mamy cztery floty kosmiczne, z których każda jest w stanie wysadzić Wenusję w kosmos. Jestem tylko agentem i nie wiem co się dzieje wewnątrz sprawy, ale wiem, że właśnie o to krzyczy społeczeństwo. Ludzie chcą wiedzieć, dlaczego jeszcze tego nie zrobiliśmy – nie wysadziliśmy tego szczurzego gniazda Darriena do Królestwa Niebieskiego. Dziwi mnie pańskie zdanie o tym, że zostaliśmy przyparci do muru. Nie wiedziałem, że jest aż tak źle.

— Ani opinia publiczna — oznajmił ponuro Wentworth. — Obwiniają Radę o to, że nie powstrzymała najazdów statków kosmicznych Darriena na Ziemię. To jest niemożliwe, chyba że zniszczymy Wenusję.

— Więc dlaczego tego nie zrobimy?

— Bo nie możemy.

To było równoznaczne ze stwierdzeniem, że człowiek nie może pacnąć muchy na własnym nadgarstku. Ron pozwolił, aby na jego twarzy pojawił się wyraz odzwierciedlający zaskoczenie, ale nic nie powiedział. Wentworth zapalił kolejnego papierosa i wydmuchnął chmurę dymu przez nos. Następnie zapytał:

— Czy słyszałeś może kiedyś o minie kosmicznej Clantona?

Ron pokręcił przecząco głową, a Wentworth uśmiechnął się bez cienia wesołości.

— Gdybyś słyszał — powiedział Wentworth, — oznaczałoby to przeciek w Wywiadzie. Bardzo niewielu ludzi o niej wie. Gdyby informacja wyszła na jaw, na ulicach zapanowałaby panika.

Nacisnął przycisk na swoim biurku. Na końcu pomieszczenia otworzyły się drzwi i wszedł przez nie jakiś młody człowiek. Młody człowiek roztaczał wokół siebie tę charakterystyczną bezosobową aurę naukowca. Przeszedł przez gabinet i stanął przy biurku Wentwortha, wpatrując się w szefa spokojnymi, rzeczowymi oczyma. Wentworth zamknął własne oczy, najwyraźniej z czystego zmęczenia.

— To jest Corbett — powiedział. — Jeden z naszych błyskotliwych młodych mózgów. Corbett, opowiedz temu człowiekowi o minie kosmicznej Clantona.

Podczas gdy Wentworth wydawał się zapaść w drzemkę, młody naukowiec odwrócił się do Rona i przemówił płaskim głosem, jakby czytał wypowiadane słowa z kartki papieru:

— Minę kosmiczną Clantona można porównać, dla lepszego zrozumienia jej działania, do wybuchowych min lądowych, używanych w starożytnych wojnach do wysadzania drogi, po której przemieszczał się wróg. Jest ona używana w dokładnie tym samym celu w stosunku do statku przelatującego przez dany obszar kosmosu. Jest to system całkowicie niewidoczny i niemożliwy do zarejestrowania ...

Ron podniósł rękę.

— Co pan ma na myśli mówiąc niemożliwy do zarejestrowania?

— Że jego obecność nie może zostać wykryta przez żadne przyrządy, a przynajmniej przez żadne przyrządy, które udało nam się opracować.

— Rozumiem.

— Ta mina składa się z wiązki promieni i została odkryta przez Andrew Clantona...

Wentworth najwyraźniej nie drzemał, bo machnął zniecierpliwiony ręką, nie otwierając oczu, i powiedział:

— Do diabła z tym. Wszyscy wiedzą, że Clanton to sparszywiały geniusz, którego Darrien wyłowił w marsjańskiej knajpie. Powiedz mu, jak oni używają tych min.

Młodzieniec kontynuował:

— Zgodnie z naszą najlepszą wiedzą, wiązka promieni wysyłana jest z centralnej elektrowni znajdującej się w mieście Wenusja. Jest ona emitowana w taki sposób, że tworzy parasol nad miastem i obszarem około siedmiuset mil kwadratowych wokół niego. Funkcjonalnie, ten parasol promieni powoduje eksplozję każdego pocisku, uzbrojonego lub

jakiegokolwiek innego, który znajdzie się w obszarze jego działania. Ten obszar, o ile możemy stwierdzić, ma głębokość mniej więcej mili i rozciąga się około dwieście mil ponad miastem i otaczającymi je dżunglami.

— Zapamiętaj to sobie, Kratnick — powiedział Wentworth, ciągle nie otwierając oczu. — Siedmiu dobrych ludzi zginęło, zdobywając dla nas te informacje.

Zapadła chwila ciszy, po której Wentworth powiedział:

— No dobrze. Powiedz mu resztę.

— Wiemy także, że istnieją przejścia-tunele, że tak je nazwę, przez ten parasol – nieaktywne drogi w kosmosie, przez które statki Darriena mogą bezpiecznie wchodzić i wychodzić…

— Ale — wtrącił Wentworth, — nie wiemy, w których miejscach one są.

— Czy jeszcze coś, proszę pana? — zapytał młody naukowiec.

Wentworth pokręcił głową, po czym Corbett opuścił pomieszczenie.

— Wiesz już wszystko, Kratnick — powiedział Wentworth. — Wiesz dlaczego Darrien trzyma nas za gardło. Dopóki nie będziemy w stanie przebić się przez ten parasol z eskadrą bombowców, te ataki będą trwały, do czasu aż Ziemia wpadnie w kompletną panikę, a Darrien zwerbuje wystarczająco wielu ośmielonych wojowników z innych planet, by spaść nam na karki i nas unicestwić.

— Rozumiem teraz, dlaczego określił pan sytuację jako poważną — odparł ponuro Ron. — Jakie są moje rozkazy?

— Są w zasadzie równoznaczne z samobójstwem. Chcę, żebyś dostał się do środka, zlokalizował tę instalację projekcyjną i unieszkodliwił ją.

— Mogę zapytać, dlaczego to mnie wybrano do tego zadania?

— Do twojej wiadomości — Wentworth zawahał się, po czym powiedział z wyjątkowo ponurym tonem w głosie. — Masz prawo do prawdy, Kratnick. Powiedziałem ci, że przy tym projekcie zginęło już siedmiu ludzi. Wszyscy byli dobrzy, ale ta grupa obejmuje również Tantona, Merkurianina. Bardzo na niego liczyłem, ale nie ma go już od ponad czterech miesięcy i uznajemy go za martwego. Wszystko, czego Tanton nie potrafił rozgryźć, jest – no cóż, prawie niemożliwe do rozgryzienia.

Ron był autentycznie wstrząśnięty po usłyszeniu tej wiadomości – Tanton! Ten niebieski Merkurianin był praktycznie legendą wśród ludzi z wywiadu. Znał ponad pięćdziesiąt języków, ukończył Cambridge oraz Harvard University of Advanced Theoretics, był niedoścignionym fizykiem jądrowym, uznanym kompozytorem, a – przede wszystkim – nieuleczalnym poszukiwaczem przygód. Już nawet to było zaszczytem, że brano go pod uwagę przy projekcie, przy którym zawiódł wielki Tanton!

— A oprócz Tantona było jeszcze sześciu innych?

— Najlepsi ludzie w naszych szeregach. Trzech Ziemian, Marsjanin i dwóch Plutonian. Jest praktycznie pewne, że wszyscy nie żyją. Prawdopodobnie umarli w męczarniach na torturach. Możesz odmówić wykonania zadania, jeśli chcesz.

— Jak mam przedostać się przez parasol?

— Jako członek wenusjańskiej grupy uderzeniowej. Czasami dostajemy informacje o miejscu, w które ma uderzyć jedna z ich grup. Niezbyt

często, ale kiedy tak się dzieje, wykorzystujemy te informacje w bardzo frustrujący sposób – pozwalamy na przeprowadzenie ataku i używamy ich do umieszczenia agenta w Wenusji.

Ron zrozumiał natychmiast sytuację i żołądek skręcił mu się w proteście na tę pozorną bezduszność. Siłom Darriena pozwalano na ucieczkę z pewną liczbą uprowadzonych Ziemian, aby Wywiad mógł spróbować zadać cios w tej ponurej walce. Nieszczęśnicy schwytani przez napastników, stawali się bezbronnymi pionkami w grze, w której stawka sięgała milionów istnień ludzkich.

— Wiem, o czym myślisz — powiedział Wentworth. — Wiem, że takie postępowanie wydaje się zdradzieckie i parszywe, ale w tym biznesie często trzeba ważyć wszystkie zła i godzić się na najmniejsze, aby zniszczyć największe.

— Rozumiem — odparł Ron.

— Napastnicy przybywają w grupach po około pięciuset – zazwyczaj tylko jednym statkiem – i są zbieraniną ludzi ze wszystkich planet. Na szczęście dla nas, Darrien zwerbował batalion Ziemian-renegatów – wygnańców z naszych slumsów i szamb. Udało nam się schwytać kilku z nich, i kiedy atak zostanie przeprowadzony, masz przeniknąć do grona grabieżców. Jeśli będzie to konieczne do udanej infiltracji – złapiesz sobie do niewoli jakąś kobietę i zabierzesz ją z powrotem do Wenusji.

— Oczywiście będę całkowicie zdany na siebie.

— Całkowicie. Jedna z naszych flot kosmicznych stale patroluje Wenusję. Podamy ci długość ich fali, a ty masz ich powiadomić, jeśli uda ci się zniszczyć projektor.

Wentworth podniósł się na nogi i wyciągnął rękę.

— I obiecuję ci — oświadczył ponuro, — że jeśli uda ci się tego dokonać, w kilka chwil później na Wenus powstanie wielka dziura.

— Zrobię co tylko będę mógł, proszę pana — odparł Ron i uścisnął dłoń Wentwortha.

Odszedł, strasznie żałując tego człowieka, który musiał siedzieć przy biurku dźwigając na barkach cały ciężar tej strasznej sprawy; człowieka, którego być może prześladowały w snach, twarze Ziemian poświęconych w trakcie realizacji planu, który sam musiał obmyślić.

— Powodzenia, Kratnick — rzucił za nim Wentworth.

— Dziękuję, proszę pana — odparł Ron.

Schowany w krzakach, dwie noce później, na obrzeżach małego miasteczka w Iowa, Rod słuchał cykania świerszczy na pobliskim bagnie i szukał na ciemnym niebie śladów statku kosmicznego. Był ubrany w obcisłe szare bryczesy i czerwoną tunikę Brygady Ziemian Darriena. Nosił na sobie również skórzaną uprząż, która wyróżniała tych renegatów, a na biodrze wisiał mu pistolet zam. W kieszonce przy pasie schowane miał papiery – całkiem prawdziwe – identyfikujące go jako Louisa Diehla, młodego malwersanta z St. Louis, który został zesłany na Wenusję, powrócił jako jeden z grabieżców Darriena, a teraz jest bezpiecznie przetrzymywany w celi w Chicago. Ron miał również na swojej tunice maleńki, prawie niezauważalny niebieski szew, który umożliwiał jego rozpoznanie przez każdego agenta, jakiego miałby okazję spotkać.

Tyle, że nie spotkam żadnego, powiedział sobie. Oni wszyscy nie żyją, a ja jestem ósmy w kolejce.

Na niebie pojawił się czerwony ogon statku kosmicznego. Ron przykucnął w krzakach i pomyślał o Tantonie.

II

Największym atutem Tantona był szósty zmysł, który w niesamowity sposób ostrzegał niebieskiego Merkurianina przed niebezpieczeństwem. W chwili, gdy postawił stopę na ziemi Wenusji, ten zmysł huczał jak dzwon – mówił mu wprost, że jest obserwowany.

Jako posiadacz lazurowej, pokrytej skorupami skóry wszystkich Merkurian, nie był zdolny do formowania wyrazów twarzy, ale jego okrągłe oczy przeszukiwały każdą twarz w pobliżu i w końcu skupiły się na dwóch wenusjańskich gapiach w cywilnych strojach, którzy wylegiwali się nieopodal, w za bardzo swobodny i leniwy sposób. Gdyby Tanton był w stanie się uśmiechać, zrobiłby to teraz. Co za głupi dupek naprowadził tych dwóch lalusiów na jego trop?

Gdy oddalał się od statku kosmicznego, który zaatakował Ziemię, po wylądowaniu okrętu w porcie macierzystym, razem z wojownikami i ich łupami, jego umysł zaczął szybko pracować.

Wychodząc od świadomości tego, że jest obserwowany, zaczął rozumować wyłącznie na podstawie powyższego faktu. Po pierwsze, było oczywiste, że został rozpoznany, jako agent ziemskiego wywiadu. A więc, wiedziano o jego obecności na statku kosmicznym, zanim jeszcze opuścił Ziemię razem z najeźdźcami.

Uzbrojony w tę wiedzę, stanął w szeregu z rabusiami, którzy czekali na odliczenie się, przed przekazaniem im łupów, i uderzył go fakt, że dwaj Wenusjanie nie wykonali żadnego ruchu, aby go aresztować. To dało mu kolejny element, na jakim mógł się oprzeć.

Najwyraźniej kazano im go obserwować, a nie aresztować. Z tą myślą wysunął się mimochodem z szeregu i podążył w kierunku bramy w ogrodzeniu, pewien, że nikt go nie zatrzyma.

Dwaj ludzie z tajnych służb również skierowali się w stronę bramy i podążyli za Tantonem po ulicy. Tanton, poruszający się przypadkowo i bez wyraźnego celu, bardzo ułatwiał im zadanie. Unikał zatłoczonych ulic, wszedł na drugi poziom miasta i przez pewien czas stał, wpatrując się w ogromną szklaną kopułę, która przykrywała Wenusję. Kopuła ta, jedno z największych osiągnięć architektonicznych w historii, pokrywała dwadzieścia pięć mil kwadratowych terenu i odcinała ogromny żar palącego słońca, zamieniając tym samym Wenusję w miasto o kontrolowanym klimacie. Tanton wpatrywał się w nią jak absolutnie niewinny turysta, przez cały czas jednak, uważnie obserwując śledzących go ludzi.

Teraz, gdy był już całkowicie pewien swoich wniosków, wrócił na pierwszy poziom, zjadł kolację i ruszył w kierunku pewnego miejsca na zachodnim krańcu miasta. Wiedział dokładnie, dokąd zmierza, choć wcale na to nie wyglądało.

Kiedy był już gotów, jednym szybkim ruchem zgubił dwóch ludzi z Tajnej Służby, zdwoił tempo marszu i udał się prosto do antycznego kamiennego budynku, gdzie znalazł drzwi; drzwi sprytnie zamaskowane kurzem, gruzem i pozornym brakiem użytkowania.

Zapukał do drzwi, jego stukanie było pewnym nieprzypadkowym ciągiem puknięć, najwyraźniej umówionym kodem.

Potem oparł się o ścianę i czekał na efekt.

Dziesięć lat wcześniej przeszedł przez dokładnie ten sam zestaw kroków co i teraz, i tak samo jak wtedy, wyniki były identyczne. Po pięciu minutach otworzyło się małe okienko w panelu drzwi i wyjrzało przez nie czerwone, wrogie oko.

— Jestem Tanton — powiedział agent. — Chciałbym się widzieć z księżniczką.

Tych samych słów użył również dziesięć lat wcześniej i teraz identyczna ohydna bezkształtna istota odsunęła panel i wyskrzeczała, że może wejść.

W środku Tanton znalazł małe pomieszczenie, oświetlone zakurzoną rurą levonową, która, o ile nie zostanie celowo lub przypadkowo uszkodzona, będzie palić się wiecznie. Niewiarygodnie brudny, jednooki stwór, który pełnił rolę strażnika przy drzwiach, najwyraźniej rozpoznał Tantona – zachowywał się tak, jakby dziesięć lat było to niewiele więcej niż dziesięć minut. Stwór wyciągnął łuskowatą dłoń i podsunął mu ją z czymś, co miało być podobne do uśmiechu.

— Jeden creda — wymamrotał. — Jeden creda na jedzenie.

Tanton włożył mu w dłoń srebrną monetę – trzy creda – i został nagrodzony szaleńczym tańcem, gdy stworzenie okazało swoją wdzięczność. Kiedy Tanton przeszedł przez pokój i zaczął schodzić schodami w dół, do mrocznych poziomów pod spodem, stwór wciąż promieniował szczęściem.

Tanton poruszał się szybko, całkowicie pewny tego co robi. Znajdował się teraz w tunelu, ciągnącym się w dal, oświetlonym w nieregularnych odstępach przez levonowe rury, od którego co kilkaset stóp odchodziły inne tunele.

To było słynne Podmiasto Wenusji, pełna tuneli i katakumb strefa niezbadanych krypt i śmiertelnych pułapek, o historii tak krwawej, że nawet Kasba z dawnych czasów wypadała przy niej blado.

Tutaj, niczym żarłoczne szczury w ciemnościach, żyło robactwo, które zostało odrzucone przez większą grupę robactwa wygnaną z Ziemi. W tych korytarzach mieszkały zupełne odpadki wszechświata. Nawet członkowie nieustraszonej tajnej policji Darriena znani byli z tego, że rezygnowali, zamiast ścigać przestępcę w tych śmiertelnie niebezpiecznych labiryntach.

Wiadomo było, że tu na dole, istnieje kompletny rząd cieni. Królem Podmiasta był podobno czteroręki dziwak o imieniu Tza-Necros, pochodzący z Planetoid, gdzie ewolucja czasami szalała i tworzyła

najróżniejsze fantastyczne formy zwierzęce. Ten potwór, posiadający w swej odrażającej głowie całkiem niezły umysł, samodzielnie stworzył krainę cieni i skutecznie przeciwstawił się nawet bezwzględnemu Darrienowi, który podobno z przerażeniem reagował na opowieści o tym, co się działo w Podmieście.

Dwukrotnie Darrien próbował oczyścić to gniazdo nieprawości, zbyt intensywne nawet dla jego żołądka, w wyniku czego kilka tysięcy jego ludzi leżało teraz, gnijąc w ciemnych tunelach, pod powierzchnią.

Tanton jednak wydawał się być kompletnie u siebie. Poruszał się pewnym krokiem od jednego przejścia do drugiego. Szedł z pistoletem zam w ręku i zwiększał czujność, gdy zbliżał się do poprzecznego przejścia lub do miejsca, w którym sklepienie tunelu wznosiło się wyżej ponad jego podłoże, pozostawiając miejsce na balkony.

Był w pełni świadomy głodnych oczu, które śledziły jego drogę, ale odkrył, że żadna istota nie zagradzała mu drogi.

Przejścia prowadziły go coraz niżej i w końcu wydawało mu się, że musi być co najmniej milę pod pierwszym poziomem miasta na górze. Potem zatrzymał się gwałtownie, popatrzył na ścianę po prawej stronie i ostro zastukał w nią kolbą swojego pistoletu zam. Czekał przez dziesięć minut, po czym procedura odbyta przy pierwszym wejściu, wysoko na górze, została powtórzona i znów Tanton powiedział:

— Chciałbym się widzieć z księżniczką.

Ze strony tego odźwiernego, młodego Plutonianina - z własnym pistoletem zam, w zaciśniętej płetwiastej dłoni, nie było nawet chwili wahania.

Pomieszczenie w środku było tym razem czystsze, wyposażone w głęboko tapicerowane krzesła i gruby biały dywan z yangskinu.

Agent wszedł do środka, nie okazując wahania ani nawet cienia ostrożności.

— Powiedz księżniczce, że Tanton tu jest. Zrób to szybko, albo zdejmę z ciebie skórę i wepchnę ci ją do gardła.

Był to najwyraźniej język, który młody strażnik rozumiał, ponieważ z gburowatym warknięciem, wsunął swój pistolet do kieszeni i wyszedł przez inne drzwi.

Po kilku chwilach wrócił i Tanton został wprowadzony za wewnętrzne drzwi.

Wokół rozbrzmiewał szmer bijących fontann, muzyka falującej wody, w górze widać było sztuczne niebo o leniwym błękicie z unoszącymi się białymi obłokami. Ścieżka z żółtej cegły prowadziła przez ten niesamowity raj, wijąc się wśród rzędów palm i klombów starannie wypielęgnowanych kwiatów.

Tanton zawahał się przez chwilę, a potem jakiś głos zawołał do niego:

— Tutaj Tanton – tędy.

Niebieski Merkurianin ruszył w tamtym kierunku i doszedł do obrośniętego paprociami basenu, z którego wyłoniła się dziewczyna jak złoty płomień, zupełnie naga, by stanąć na czubkach palców w bujnej trawie i strząsnąć wodę ze swoich długich jasnych włosów.

Tanton usiadł na marmurowej ławce nieopodal. Na znak przyjaźni zdjął swoją uprząż i położył ją w trawie.

— Minęło sporo czasu, Tanton — powiedziała dziewczyna. — Rzuć mi tamten ręcznik, i moją szatę.

Tanton wziął obie rzeczy i zaniósł je dziewczynie. Stał z boku, podczas gdy ona osuszyła swoje brązowe ciało i wślizgnęła się w szatę z puszystego materiału w złote cętki.

— Oczywiście, masz kłopoty — stwierdziła dziewczyna, śmiejąc się, — inaczej byś nie przyszedł.

— Wpadłem w kłopoty – zgadza się – ale to nie ma nic wspólnego z moją wizytą. Twoja bezduszność mnie rani.

Ponownie się roześmiała, po czym ruszyli z powrotem do ławki. Tanton usiadł na niej, a dziewczyna opadła na trawę u jego stóp i siedziała patrząc na niego.

— Mów co nowego. Co się dzieje na Ziemi i w całym Wszechświecie?

— A więc, on nadal trzyma cię odciętą od świata?

Na chwilę jej maska wesołości opadła i Tanton mógł dostrzec skrywaną pod nią ponurą, nieszczęśliwą kobietę. Poznał tę dziewczynę, wiele lat wcześniej, w nowojorskiej kawiarni. Była wtedy tancerką i kiedy zaoferowano jej ten raj w sercu wenusjańskiego Podmiasta – raj, z pewnymi ograniczeniami – przyjęła ofertę zamiast bardziej forsownego życia na Ziemi.

Margot przez te wszystkie lata nie zmieniła się ani o jotę. Nie zdziwiło to jednak Tantona. Zdziwiłby się raczej, gdyby dostrzegł u niej oznaki starości, skoro Margot miała dostęp do hormonów młodości opracowanych w marsjańskich laboratoriach Kordo.

— Tak — odparła dziewczyna, — jestem tutaj jak uwięziona, ale on jest dla mnie dobry. Dotrzymał swojej części umowy, a ja dotrzymałam swojej. — Uśmiechnęła się i machnęła ręką w stronę basenu i błyszczących apartamentów za ogrodem. — Jaka inna dziewczyna ma to, co ja mam? Mieszkam w najpiękniejszym miejscu we wszechświecie. Moje każde życzenie jest natychmiast spełniane. Mam pięćdziesięciu ludzi, którzy zaspokajają moje najmniejsze zachcianki. Jestem najszczęśliwszą dziewczyną, jaka kiedykolwiek żyła.

— Bardzo starasz się przekonać o tym samą siebie, co? — zauważył Tanton. Margot spuściła oczy, a Tanton mówił dalej: — Czy cokolwiek może zrekompensować te męki, przez które przechodzisz z tym czterorękim monstrum z Planetoid?

Margot położyła dłoń na opancerzonym kolanie Tantona. Oczy wciąż miała spuszczone.

— Tza-Necros jest dla mnie dobry — powiedziała. Ale nie potrafiła ukryć braku nadziei w swoim głosie. — Gdyby nie on, byłabym już starą jak świat wiedźmą. Miałam ponad sto lat, gdy przestałam je liczyć. On załatwia dla mnie hormony, które dają mi wieczną młodość. Tu, w moim podziemnym Edenie, mam pełną władzę. On daje mi to, o czym inne dziewczyny mogą tylko marzyć, a jedyne, o co prosi w zamian, to moja – miłość.

— On nie ma twojej miłości i dobrze o tym wie. Wszystko, o co prosi, to twoje ciało.

Margot uniosła głowę w błysku przekory.

— No cóż, czy to jest aż tak niewiele?

Tanton podłożył jej rękę pod podbródek i powstrzymał ją od ponownym opuszczeniem głowy. Wpatrywał się w tę piękną twarz, dopóki nie spuściła oczu.

— Czemu nie przestaniesz oszukiwać starego przyjaciela — powiedział łagodnie.

— To jest jego ciało, prawda? — wyszeptała, spoglądając w dół na swój złocisty tors. — Zachował jego młodość.

— Przestań!

Dziewczyna zachowała równowagę jeszcze przez kilka chwil. Potem pękła, i rzuciła się na ziemię, by skryć twarz w uprzęży Tantona i wybuchnąć szaleńczym płaczem.

Tanton siedział bez ruchu, obserwując ją. Być może w jego okrągłych oczach odbijała się odrobina litości, ale bardziej prawdopodobne jest, że nie. Tanton pochodził z realistycznej rasy i nie ulegał emocjom.

Kiedy jej szloch ucichł, schylił się, podniósł ją na ławkę i posadził obok siebie.

— Tak lepiej — stwierdził. — Można było wiele o tobie powiedzieć, Margot, ale nigdy nie byłaś hipokrytką. Teraz przestań beczeć i opowiedz mi o wszystkim.

Popatrzyła na niego - teraz już z suchymi oczyma – z twarzą dziwnie pozbawioną wyrazu.

— Niech cię ognie piekielne pochłoną — oznajmiła ponuro. — Niech Bóg napluje ci w twoją głupią gębę. Powinnam cię zabić i użyć twojej czaszki jako doniczki na kwiatki. Ale nie mogę.

— Oczywiście, że nie możesz. Nie zabija się starych przyjaciół. Poza tym, moja czaszka zatrułaby kwiatki. Powiedz mi, od jak dawna tak się czujesz? Od jak dawna masz już tego dość?

W jej głosie zabrzmiał kompletny brak nadziei.

— Zawsze tego nienawidziłam, ale ostatnie pięć lat było – po prostu straszne. Nie jestem już w stanie się przed tym uodpornić. Te… te cztery owłosione łapy – ten zawzięty pysk!

Na chwilę ukryła twarz w dłoniach, potem podniosła głowę, a na jej twarzy pojawił się twardy uśmiech.

— Przepraszam. Jestem tu uwięziona i nie ma dla mnie ucieczki. Ale opowiedz mi o sobie. Jakie wieści o świecie zewnętrznym?

Ale Tanton nie myślał o wydarzeniach na świecie. Nie miał najmniejszej ochoty zamieniać się w chodzącą gazetę. Zamiast tego, przebiegły Merkurianin już snuł własne plany. W tej chwili jego umysł zajęty był budowaniem misternej konstrukcji intryg i oszustw, po której mógłby się wspiąć, aby osiągnąć swój cel – zniszczenie projektora promieni Darriena. Merkurianin nie był białym jak lilia krzyżowcem. Uczył się swego fachu w twardej szkole i nie przez przypadek był jednym z najsprytniejszych agentów zatrudnianych przez Ziemię. Jego jedyną zaletą była całkowita lojalność wobec sprawy, której służył. Powody, dla których

służył tej sprawie były całkowicie egoistyczne – na przykład, był agentem Wywiadu Ziemskiego, ponieważ była to najbardziej lukratywna propozycja, jaką mógł znaleźć dla swoich osobliwych talentów.

W lojalności jaką okazywał, po oddaniu swego losu danej grupie, nie było również żadnych wyższych pobudek. Była to po prostu kwestia zdrowego rozsądku i dbałości o interes. Niegodny zaufania agent szybko znalazłby się bez pracy, podczas gdy lojalny powiększał swoją reputację, a co za tym idzie, wartość finansową.

Tak więc teraz, gdy w jego głowie utworzyła się struktura intrygi, położył pierwsze podwaliny pod jej realizację.

— Czy kiedykolwiek miałaś kochanka? — spytał. — Jakiegoś mężczyznę, który byłby nieco bardziej sympatyczny niż nasz czteroręki przyjaciel?

Margot pokręciła przecząco głową.

— Nie. Dotrzymałam swojej części umowy. To ostatni skrawek przyzwoitości, jaki mi pozostał.

— Przykro mi, że odbierasz to w taki sposób — drążył Tanton. — Każdy mężczyzna w Wenusji sprzedałby duszę diabłu, za dwie godziny z tobą.

— To może być prawda — odparła Margot bez fałszywej skromności, — ale to i tak nie robi żadnej różnicy.

— Gdybyś była choćby odrobinę bardziej rozsądna, myślę, że mógłbym cię stąd wydostać. Zabrałbym cię z powrotem na Ziemię, gdzie byłabyś bezpieczna przed Tza-Necrosem.

Cios, zadany dziewczynie, gdy jej garda była opuszczona, przyniósł szybką krew. Chwyciła Tantona za rękę.

— Ty… ty mógłbyś mnie stąd wydostać? — W jej oczach pojawił się błysk szaleńczego błagania. Potem złapała się za głowę i ramiona jej opadły. — Mówisz głupstwa, mój przyjacielu.

— Powinnaś znać mnie lepiej. Nie paplam tylko po to, by usłyszeć swój głos. Powiedziałem, że mogę cię stąd wydostać, i mogę – zupełnie bezpiecznie.

— Ale co ma z tym wspólnego pytanie o to, czy miałam kochanka?

Tanton przez chwilę nie odpowiadał. Jego myśli przemieszczały się coraz wyżej po hierarchii ludzi Darriena, aż doszedł do Larsa Valcana, szefa ponurej i krwawej Tajnej Służby. Ta gałąź władzy miała za zadanie przeciwdziałać szpiegostwu i wykrywać dysydentów w każdej postaci. Zajmowała się również ochroną instalacji rządowych. Niewątpliwie Valcan musiał znać lokalizację emitera promieni.

— Czy byłabyś skłonna spędzić pół godziny z Larsem Valcanem? — spytał Tanton. — To znaczy, jeśli w zamian mógłbym ci obiecać bezpieczny powrót na Ziemię?

— Jak miałoby to pomóc?

— To po prostu kwestia zdobycia potężnych przyjaciół — skłamał gładko Tanton. — Valcan nie pomógłby nam za żadną sumę pieniędzy. Ale za przywilej trzymania cię w swoich ramionach… Aby móc się później tym chwalić…

Margot, nawet mimo swej degradacji, miała na tyle przyzwoitości, by się zarumienić.

— Za niecałe trzy miesiące mogłabyś chodzić po ulicach Nowego Jorku — kusił Tanton. — Jeździć po przyjemnych, zielonych terenach – oddychać ziemskim powietrzem i kąpać się w błogosławionym słońcu.

W tej chwili, Tanton wiedział już, że wygrał. Jeszcze nawet zanim Margot odparła:

— Spróbuję. — A potem, z jeszcze większą goryczą: — Chyba jestem na tyle zdesperowana, by spróbować wszystkiego.

Tanton szybko poszedł za ciosem.

— Wrócę najdalej za trzy godziny — obiecał. — Wyślij rozkazy do wszystkich wejść, że mam zostać wpuszczony bez względu na to, kto ze mną będzie. A ty czekaj na mnie w ogrodzie.

Mówiąc to, już zapinał na sobie uprząż. Potem odwrócił się i odszedł tak jak przyszedł, porzucając ukryty raj i kierując się w stronę ohydnych korytarzy, które były poza nim.

* * * *

W niedługi czas później, był już po drugiej stronie miasta, stojąc przed wysokim marmurowym budynkiem, w którym mieściły się biura Tajnej Policji. Był zupełnie sam, jego obserwatorzy nie wyśledzili go po wyjściu z Podmiasta.

Śmiało wszedł po wysłużonych schodach do holu, gdzie drogę zagrodził mu młody Wenusjanin z wbudowanym na stałe gniewnym grymasem i pistoletami zam na obu biodrach.

— Chcę zobaczyć się z Larsem Valcanem — powiedział. — Zabierz mnie do niego.

— Musisz być aż tak głupi na jakiego wyglądasz — warknął Wenusjanin. Nikt nie spotyka się z Larsem Valcanem – no może poza samym diabłem wcielonym.

— Ja się z nim zobaczę. Powiedzcie mu, że Tanton, agent wywiadu Ziemi, chce z nim rozmawiać. I biegnij do niego, bo inaczej usmażysz się na ruszcie przed zachodem słońca.

Usta strażnika otworzyły się i zamknęły. To było coś zupełnie niepojętego. To nie mógł być żart, bo w murach gmachu Tajnej Policji nie robi się żartów. Tutaj panowała tylko ponura i surowa rzeczywistość. Strażnik wycofał się powoli, tyłem, wciąż patrząc na Tantona. Machnął ręką i natychmiast czterech umundurowanych żołnierzy zbiegło się z różnych miejsc holu i utworzyło kwadrat wokół Tantona. Agent zignorował ich.

Strażnik cofnął się do lady, za którą siedziało dwóch innych funkcjonariuszy. Odezwał się do nich przez ramię, przyciszonym głosem. Podeszli się do lady, nachylili się i cała trójka przeprowadziła pospieszną konwersację, po czym jeden z funkcjonariuszy pstryknął przełącznikiem i zaczął mówić coś do mikrofonu przy ustach.

Po kilku chwilach wstał i wszedł do holu w kierunku Tantona.

— Tędy — powiedział ostro.

Z czteroosobową obstawą u boku, Tanton został zaprowadzony do małego pokoju i umieszczony przed płytą wizyjną. Rozległo się wycie i płyta zaświeciła się, ukazując ciężko zbudowanego, przystojnego Ziemianina siedzącego przy biurku. Mężczyzna, zmarszczył brwi, siedział i milczał.

— Witam pana, Valcan — powiedział Tanton. — Kiedy pańscy dwaj wywiadowcy stali się nieostrożni i zgubili mnie, poczułem się urażony. Jestem z pewnością ważniejszy i zasługuję na większą uwagę. Przybyłem tutaj, aby zadać parę pytań i przy okazji wyświadczyć panu przysługę.

Drogi tych dwu ludzi krzyżowały się już wcześniej i Lars Valcan nie miał powodu, aby kochać Tantona. Ale Tanton dobrze go znał. Wiedział, że Valcan, pewny swojej pozycji, porozmawia z nim choćby z samej ciekawości, jeśli nie dla czegoś więcej. Rozmowa to było wszystko, o co prosił Tanton.

— Przyślijcie go na górę — warknął Valcan, i płyta pociemniała.

Tanton wszedł do gabinetu Valcana, rzucił uprząż na podłogę i zajął krzesło obok biurka szefa Tajnej Służby. Był tu tak samo na miejscu, jak byłby w gabinecie własnego szefa, na Ziemi.

— Nawet jeśli skażę pana na śmierć w męczarniach — powiedział Valcan, — jednak muszę podziwiać pański tupet – przyjść tutaj w taki sposób.

— Powiedziałem, że jestem tu, aby wyświadczyć panu przysługę.

Valcan uśmiechnął się zimno.

— Naprawdę uważasz nas za takich głupców, Tanton? Pozwól, że opowiem ci trochę o tobie. Przeniknąłeś do grupy naszych bojowników w pobliżu małego miasteczka w Maryland. Użyłeś dokumentów żołnierza, Ziemianina, nazwiskiem Brad Wilcox, który został schwytany podczas wcześniejszej akcji…

— Wyrzuciłem te papiery zanim wszedłem na statek kosmiczny — wtrącił Tanton. — Wiedziałem, że człowiek pańskiego kalibru nie da się tak łatwo oszukać.

— Nie przerywaj mi. Dwóch ludzi miało cię na oku od chwili, gdy postawiłeś stopę na wenusjańskiej ziemi.

— I zgubili mnie dwie godziny później.

— Czy wiesz dlaczego cię nie schwytali? Czy wiesz dlaczego wszyscy agenci Wywiadu Ziemskiego, którzy przybyli przed tobą, nie zostali zdjęci dopóki nie byliśmy całkowicie do tego gotowi?

— Oczywiście. Darrien chce, żeby Ziemia wysyłała agentów tak długo, aż na coś wpadną. T.S. pozwala im włóczyć się gdzie chcą. To metoda Darriena na przeciąganie czasu. A wie pan, dokąd poszedłem po tym, jak pozbyłem się waszych obserwatorów?

— Nie — warknął Valcan.

— Zszedłem do Podmiasta, aby złożyć raport swojemu szefowi – dostarczyć mu pewne dokumenty z Nowego Jorku.

Valcan okazał szczere zaskoczenie.

— Twojemu szefowi! Czy próbujesz mi wmówić, że pracujesz dla Tza-Necrosa?

— Oczywiście, że tak i nie obchodzi mnie, czy pan w to wierzy czy nie – uwierzy pan później. Utknąłem w Nowym Jorku wykonując zlecenie, kiedy Ziemia zawiesiła wszystkie loty na Wenus. Musiałem jakoś wrócić, a więc czy był lepszy sposób na podwózkę niż zapisanie się do Wywiadu Ziemskiego?

Valcan nie był głupcem, ale jego umysł nie grał w tej samej lidze co umysł Tantona. Uśmiechnął się zimno i zadał pytanie, na które Tanton czekał.

— Dlaczego musiałeś wstępować do Wywiadu, aby wejść na pokład jednego z naszych statków? Poślizgnąłeś się, przyjacielu.

— Miejsca waszych ataków nie są z góry powszechnie rozgłaszane — odpowiedział Tanton, słodko. — Wywiad Ziemski otrzymał informacje o kilku waszych lądowaniach i musiałem się do nich przyłączyć, aby zlokalizować jeden z waszych statków. Każdy głupiec powinien być w stanie to rozgryźć.

Gdyby Tanton był zdolny do uśmiechu, zrobiłby to teraz, widząc cień zakłopotania u Valcana. Nie dał jednak szefowi Tajnej Służby czasu na odpowiedź.

— Ale to nie jest teraz istotne. Ważne jest to, że mam dla pana propozycję od Tza-Necrosa. Stary jest przerażony.

Valcan był kompletnie rozbrojony przez zaskoczenie i zainteresowanie.

— Tza-Necros? Czego się boi?

Spokojnie, Tanton odpalił swoją bombę.

— Ten „nowy promień śmierci", który wynalazł Clanton. Ten, którego Darrien ma zamiar użyć, aby zniszczyć każdą żywą istotę w Podmieście. Tza-Necros kupił trochę informacji o nim, od zawodowego informatora, i wpadł w panikę. Jak rozumiem, Clanton może wprowadzić go do podziemnych tuneli i unicestwić w nich wszelkie życie, w ciągu dwudziestu czterech godzin. To prawda, co?

Valcan myślał szybko, ale mimo to bystry merkuriański agent był w stanie śledzić proces jego rozumowania niemalże tak łatwo, jakby Valcan ubierał go w słowa.

Aż do tej pory, Valcan zastanawiał się, czy Tanton nie kłamie, że nie jest agentem Ziemskiego Wywiadu. Obecnie jednak, tak długo jak miał Tantona w swojej mocy, kwestia ta nie miała większego znaczenia. Została przesłonięta przez nowe informacje.

Przyjmując, że Tanton pracował dla Tza-Necrosa, było zarówno logiczne, jak i możliwe, że jakiś bystry informator sprzedał dyktatorowi Podmiasta kilka głupich plotek o Minie Kosmicznej Clantona. Tajemnica była ściśle strzeżona i nawet jeden człowiek na dziesięć tysięcy nie znał lokalizacji emitera promieni, który znajdował się na Wenus. Ale plotki się rozchodziły i było całkowicie możliwe że takie urządzenie, miałoby posłużyć do oczyszczenia Podmiasta.

Na podstawie tych informacji, a także na podstawie nieco błędnego rozumowania, Valcan uznał, że Tanton również nie wie, jaka jest prawdziwa natura tego urządzenia.

— Wspomniałeś o jakiejś propozycji— powiedział zimno Valcan.

Tanton uśmiechnął się w duchu.

— On da panu milion credas w złocie, za lokalizację emitera promieni.
— Innymi słowy, uważa mnie za zdrajcę.
Tanton westchnął.
— Nie sądziłem, że zrobi pan to dla samego złota — powiedział — i Tza-Necros również nie. Więc, on dorzuci Margot. To daje panu pojęcie, jak bardzo stary jest przerażony.
— A więc, Margot istnieje naprawdę? — Złota dziewczyna, która żyła w Edenie pod Wenusją, należała do sfery legend. Opowieści o jej pięknie i zdolności do zadowalania swojego czterorękiego pana, były mityczne, ale nikt nie był pewien, że jest ona czymś więcej niż tylko wymysłem jakiegoś podchmielonego gawędziarza.
— Oczywiście, że istnieje. Osobiście ją widziałem. Jeśli się pan zgodzi, zabiorę pana do Podmiasta i pokażę panu miejsce, które Tza-Necros dla niej zbudował. Będzie mógł ją pan tam odwiedzać lub wyprowadzić, zależnie od tego, co pan wybierze.
Paląca pokusa dopadła Valcana, dokładnie tak, jak spodziewał się Tanton. Rozumowanie Valcana było następujące. Jakie to ma znaczenie, czy Tza-Necros pozna lokalizację emitera promieni? Kiedy tylko Valcan otrzyma pieniądze i wspaniałą Margot, będzie mógł dopilnować by Tza-Necros zapoznał się z prawdziwymi faktami: że emiter w rzeczywistości strzegł Wenus przed ziemskimi statkami kosmicznymi, a tym samym strzegł również Podmiasta Tza-Necrosa.
Jednak Valcan poderwał się gwałtownie na nogi. To było absurdalne, kompletnie absurdalne. Ale przecież chodzi o – Margot. Złotą legendę Podmiasta. Valcan pragnął prestiżu, który wiązałby się ze zdobyciem jej dla siebie – z zaprezentowaniem jej w eleganckich miejscach Wenusji. Ale…
Nagle Valcan wcisnął przycisk na swoim biurku. Do pokoju weszło trzech ciężko uzbrojonych strażników. Valcan wskazał na niebieskiego merkuriańskiego agenta.
— Wsadzić go do celi — ostro polecił. — Przygotuję rozkaz egzekucji na wczesny jutrzejszy poranek.
Tanton został odprowadzony i w tym momencie jego wiara we własne siły, spadła do zera.

III

Gdy Ron Kratnick obserwował ciemne niebo nad Iowa, dostrzeżony przez niego ognisty ogon pojaśniał jeszcze bardziej i z przestrzeni kosmicznej spłynął w dół srebrny statek.
Natychmiast w pobliskiej wiosce zaczęły rozbłyskać światła; ale dopiero wtedy gdy wielka, lśniąca kula z Wenus, nadlatująca długim, wdzięcznym manewrem, osiadła na łąkach Iowa.

Z kuli wystrzeliły rampy, automatycznie otworzyły się wrota, a hordy Darriena wyroiły się na zewnątrz. Była to najbardziej różnorodna zbieranina demonów, jaką Ron kiedykolwiek widział zgromadzoną w jednym miejscu. Najpierw pojawił się kontyngent stanowiący dumę Darriena – okrutni, wenusjańscy wojownicy o czarnych ogonach. Każdy z nich miał przy sobie pistolet zam i uzbrojony był w szybkie i straszne żądła śmierci, osadzone na końcu tych chłostających jak bicze, czarnych, wypustek ogonowych. Potem nadeszły niebieskie merkuriańskie diabły, z oczyma rozjarzonymi na pokrytych skorupami pancerza twarzach, na perspektywę zdobycia ciał ziemskich kobiet. Dalej maszerowali okrutni marsjańscy górale, spragnieni grabieży i łupów.

Niczym fala przypływu płynęli przez równinny teren, wypełniając go dziwnymi, niesamowitymi wrzaskami z innych planet. Fala pochłonęła Rona, a on podniósł się i ruszył razem z nią, stał się jej częścią i powiedział sobie: Teraz jestem renegatem. Chcę mieć udział w łupach, które obiecał mi Darrien; mój udział w białych ziemskich ciałach. Myśl cały czas o roli, a będziesz mógł ją lepiej odegrać.

Najeźdźcy wdarli się już do domów. Do wrzawy dołączyły przerażone ziemskie krzyki, jako że cała okolica przybrała straszliwe cechy czegoś prosto z sennego koszmaru. Wzburzony tym widokiem Ron zastygł w bezruchu, podczas gdy wszystko toczyło się wokół niego. Z domu, przed którym stał, uciekając przed marsjańskim góralem, wbiegły trzy osoby; bardzo stary mężczyzna, kobieta w średnim wieku i dziewczyna w wieku może osiemnastu lat.

Marsjanin jednym długim krokiem wyminął starszą dwójkę i złapał za ramię przerażoną dziewczynę. W desperacji starsza kobieta rzuciła się na niego, ale w efekcie tylko upadła, a jej czaszkę zmiażdżyła kolba pistoletu zam Marsjanina. Starzec potknął się i przewrócił jak długi, aby otrzymać od Marsjanina kopnięcie, które jeszcze podwoiło jego cierpienie.

Żołądek Rona buntował się na widok otaczającej go scenerii: kobiet i dziewcząt wywlekanych z domów, częściowo lub zupełnie nagich, ciągniętych za ręce, nogi lub włosy, niektórych przerzuconych przez ramiona najeźdźców, krzyczących, wyrywających się i wijących bezradnie.

Nie dam rady znieść już tego dłużej, powiedział sobie Ron przez zaciśnięte zęby. Ale muszę wytrzymać! Wytrzymaj!

Potem, na widok dwóch Wenusjan, walczących na ulicy o kulącą się blondwłosą dziewczynę, Ron zdał sobie sprawę, że jednak jest coś, co może zrobić – niewielka rzecz, ale uchroni go to od szaleństwa i zniweczenia całego jego śmiertelnie ważnego zadania.

Doskoczył do marsjańskiego górala, który właśnie trzymał w ramionach wrzeszczącą dziewczynę i powalił go jednym ciosem prawej pięści. Zaskoczony Marsjanin upadł na ziemię, ale zaraz potem poderwał się z rykiem wściekłości, powtarzając raz po raz słowo, które słychać było ze wszystkich stron:

— Moja – moja – moja!

Dziewczyna również upadła i Ron złapał ją za nadgarstek, gdy Marsjanin rzucił się na niego, i chwycił za swój pistolet zam. Ron pchnął dziewczynę za siebie, gdzie kucnęła, szlochając, z twarzą skrytą w

dłoniach. Przyjął szarżę głową naprzód Marsjanina, na opuszczone prawe ramię. Szarpnął się, czując niesamowite szczęście z powodu uczucia fizycznego uderzenia, i odrzucił górala do tyłu.

— Moja! Moja! — wrzasnął Ron prosto w kły pyska Marsjanina i wbił pistolet zam w bebechy stworzenia. Pstryknął przełącznikiem i w ciele górala pojawiła się wielka dziura – okrągła, bezkrwawa dziura, w której wnętrzności, serce i płuca Marsjanina zniknęły w ostrym trzasku rozpylonego na atomy kurzu. Z pyska Marsjanina wysunęły się zawzięte zęby. Był martwy, ale straszliwe szczęki wciąż pracowały, gdy roztapiał się na ziemi.

Ron obrócił się i rzucił się na niebieskiego Merkurianina, który już sięgał po jego ubraną w koszulę nocną zdobycz. Merkurianin warknął w proteście, łapiąc się za rozciętą skorupę na prawym policzku. Nie miał jednak ochoty na dalszą kłótnię i oddalił się w poszukiwaniu innej zdobyczy.

Ron wziął dziewczynę na ramię. Kiedy ją niósł, czuł jej piersi i rozpaczliwe bicie jej serca na swojej szyi.

— Moja! Moja! — wykrzykiwał z triumfem, mijając innych łowców, którzy zajęci byli swoją robotą. Zdawało mu się, że jego uśmiech musiał przypominać szyderczą, wyszczerzoną czaszkę.

Atak znalazł się już w końcowej fazie. Ze statku kosmicznego rozległ się dźwięk rogu i grabieżcy zawracali w kierunku łąki. Niektórzy z żywym łupem, inni musieli się ukontentować nieożywioną zdobyczą, a jeszcze inni z pustymi rękoma.

Ale wracali, bo przecież pomimo wszystko życie było najdroższą rzeczą, a pozostanie w tyle oznaczało pewną śmierć.

Ron został nieco za pędzącym tłumem, prychając na zazdrosnych, rabusiów o pustych rękach. Pozwalał im się wymijać, i niepostrzeżenie skręcał, kierując się w stronę względnego mroku pobliskich krzaków. Gdy pozostało już tylko kilku rabusiów, którzy musieli jeszcze wejść na pokład czekającego statku, Ron postawił dziewczynę na nogi, podtrzymał ją, gdy osuwała się na ziemię.

— Uciekaj — mruknął jej do ucha. — Uciekaj w ciemność! Na litość Boską – uciekaj!

Oszołomiona dziewczyna początkowo nie zrozumiała. Potem zrobiła kilka niepewnych kroków, zaplątała jedną stopę w podartą koszulę nocną i upadła, jęcząc.

Rozglądając się desperacko dookoła, Ron podniósł ją szarpnięciem na nogi.

— Czy ty mnie nie rozumiesz? Uciekaj! — Jednym ruchem ręki zerwał z niej plączącą się koszulę nocną, pozostawiając ją zupełnie nagą. Wcisnął jej ubranie w ręce i szepnął. — Założysz ją później, ale teraz uciekaj stąd!

Dał jej mocnego klapsa w gołą pupę i z satysfakcją zobaczył, jak ożywa i zmienia się w rozmazany biały kształt, by po chwili zniknąć zupełnie w mroku.

Zawirowawszy wokół siebie, Ron rzucił się w stronę statku kosmicznego, z którego opuszczona była jeszcze tylko jedna rampa. Wdrapał się po niej i wpadł do środka niemalże w chwili, gdy wrota się

zatrzasnęły, uderzając w ciężkie, gumowe uszczelki i tworząc gładką, pozbawioną nawet rysy powierzchnię na zewnętrznym poszyciu statku.

Dwóch Wenusjan odepchnęło go na bok i zamknęło wewnętrzne wrota. Ron odwrócił się szybko, skrywając twarz tak mocno, jak to tylko możliwe, ale widać było, że Wenusjanie nie zwracają na niego uwagi. Pośpiesznie wszedł na wewnętrzną rampę, stając przed pierwszą poważną przeszkodą w tym zadaniu. Podszywał się pod prawdziwego ziemskiego renegata. Jego papiery były w porządku, ale tego renegata nie było na pokładzie statku, na początku podróży. Z tego co wiedział Wywiad, poprzednich siedmiu agentów mogło zostać rozpoznanych, właśnie zaraz po wejściu na pokład statków kosmicznych najeźdźców. Podróż na Wenus było to coś więcej niż zwykły wypad na przedmieścia i choć prawdopodobnie nie będą ich sprawdzać, dopóki statek nie dotrze do portu, przebieraniec mógł zostać ujawniony przez swoich towarzyszy. W czasie tego rodzaju podróży nawiązywały się znajomości. Ludzie zaprzyjaźniali się między sobą i byli sobie znani nawzajem. Nieznany człowiek mógł stać się przedmiotem śledztwa…

Ron miał plan, pozwalający przynajmniej częściowo złagodzić to zagrożenie. Znał zwyczaje obowiązujące przy takich okazjach jak ta. Wiedział, że ludzie nie mają dostępu do swoich łupów podczas lotu powrotnego na Wenus; przynajmniej nie do żywych łupów.

Wzięte do niewoli kobiety, były izolowane w osobnym przedziale i przekazywane żołnierzom po przybyciu na miejsce. Zapobiegało to w drodze ewentualnym bójkom i walkom na śmierć i życie o nagrody. Pozwalało to również oficerom na odrobinę przyjemności w czasie wolnym. W drodze powrotnej, z co bardziej pożądanymi jeńcami, działy się różne rzeczy, o których Ron wolał nie myśleć.

Również sami żołnierze zostali podzieleni na małe grupy, aby lepiej można było sobie z nimi radzić. Chociaż nie było to obowiązkowe, najeźdźcy zazwyczaj trzymali się z przedstawicielami swojego własnego gatunku. Marsjanie zwykle podróżowali z „Marsjanami”. Wenusjanie również trzymali się razem, a ziemscy renegaci, najbardziej klanistyczni ze wszystkich, zwykle skupiali się z dala od pozostałych. Ron postanowił więc unikać Ziemian, którzy bez wątpienia uznaliby go za intruza, i wybrać sobie innych towarzyszy podróży na Wenusję.

Zdecydował się na najbardziej paskudnych z nich wszystkich – wenusjańskich wojowników o czarnych ogonach. Wszedł za ich grupą do przedziału, rzucił swoją uprząż na pryczę i przygotował się do przepłoszenia każdego pretendenta do jej zajęcia.

Ocenił, że w grupie było około dwudziestu pięciu Wenusjan. Dostrzegł też jednego Marsjanina i jednego Plutonianina. Marsjanin, którego kły ciągle jeszcze były zakrwawione po napadzie, zajął pryczę obok Rona i usiadł, aby owinąć kawałek brudnej szmaty wokół małej rany na kostce.

Ron wyciągnął się na swojej pryczy, zamknął oczy i wziął powolny, głęboki oddech. Wykonał pierwszy etap swojego zadania. Statek był już w ruchu i wkrótce miało się pojawić jedzenie dla zwycięskich wojowników. Potem Wenusjanie udali się na prycze i wprowadzili się w stan snu, narkotycznego otępienia, do którego każdy Wenusjanin nosił mały

woreczek z suszonymi liśćmi krzewu *jadic* – tej paskudnej, czerwonej rośliny, którą można znaleźć tylko w dusznych wenusjańskich dżunglach.

Ciekawe, czy kiedykolwiek uda mi się tam dostać? — pomyślał Ron. — Ciekawe, jak szybko zauważy mnie jakiś czujny oficer?

Ciekawe, jak długo jeszcze pozostanę przy życiu?

Kiedy wreszcie zasnął, miał wrażenie, że w każdej chwili może zostać wyrwany z pryczy i posadzony przed oślepiającym światłem; jakieś głosy zaczną mu wyszczekiwać pytania do ucha, zaś ciężkie pięści okładać go za brak odpowiedzi.

Ale spał dalej i obudził się, by stwierdzić, że na stole pojawiło się jedzenie. Przy posiłku siedzieli Marsjanin i Plutonianin. Właśnie skończyli jeść i rozmawiali w jakimś nieznanym Ronowi języku z kosmosu.

Na drugim końcu stołu pojedynczy Wenusjanin rozgryzał udziec wołowy, łamiąc kości swymi mocnymi zębami, aby dostać się do szpiku w środku. Gdy Ron patrzył, Wenusjanin warknął coś do siebie i wrócił na swoją pryczę.

Ron wstał i podszedł do stołu. Dwaj przybysze z obcych planet przestali rozmawiać i popatrzyli na niego z wrogością. Zignorował ich, napełnił talerz i zaspokoił swój apetyt.

* * * *

Akurat gdy kończył posiłek, drzwi się otworzyły i do środka wszedł Wenusjanin. Mężczyzna miał na sobie charakterystyczną uprząż wysokiego rangą oficera. Podszedł prosto do stołu i stanął, patrząc na Rona z góry. Milczał, podczas gdy Ron napiął mięśnie w oczekiwaniu na, jak się wydawało, konsekwencje swoich poczynań. A więc to się stało z innymi ludźmi z Wywiadu. Zostali zauważeni jeszcze zanim opuścili Ziemię i każdy z nich odleciał na szybką śmierć w przestrzeni kosmicznej.

Ale wenusjański oficer milczał tylko i nie wykonał żadnego ruchu w stronę Rona. Stał przez całą minutę wpatrując się w niego. Po czym uśmiechnął się domyślnym, wilczym uśmiechem i wyszedł tak jak wszedł.

Nastąpiła reakcja i Ron poczuł nagle słabość. Marsjanin i Plutonianin, którzy przez ten czas siedzieli w milczeniu, z oczyma utkwionymi w talerze, powrócili do swej rozmowy. Ron wstał od stołu i wrócił na pryczę.

Ten epizod wprawił go w zdumienie. Co się za nim kryło? Mógłby przysiąc, że ten wenusjański oficer rozpoznał go – wiedział kim był. A jednak ten człowiek spokojnie zajął się swoimi sprawami. Czy to była gra w kotka i myszkę? Czy wiedząc, że Ron jest bezbronny, bawili się z nim? Ron raczej byłby skłonny w to wątpić. Wenusjanie nie załatwiali spraw w taki sposób. Jedno było jednak dla Rona pewne. Nigdy nie dotrze do Wenusji żywy.

Podczas podróży Ron był co najmniej kilkanaście razy dogłębnie, lecz w milczeniu, lustrowany przez ludzi z kwater oficerskich. Za każdym razem przygotowywał się na koniec i był gotów do walki. Lecz za każdym razem, w drodze, nic nie wydarzyło. To było zdumiewające i mocno

nadwyrężało mu nerwy. Kiedy statek był już gotów do zacumowania w swym porcie macierzystym, był napięty dosłownie jak stalowy drut.

Ale znowu nic się nie wydarzyło. Opuścił statek i zmieszał się z hałaśliwymi rabusiami w na ogrodzonym terenie, przed odliczaniem. Najwyraźniej, nikt nie zwracał na niego uwagi.

Teraz nadeszła właściwa chwila, zdecydował. Z pewnością nie miał zamiaru stać i czekać na śmierć. Ruszył niby mimochodem w stronę rampy, spodziewając się, że w każdej chwili może zostać zatrzymany lub zastrzelony na miejscu.

Jednak nikt nie stanął mu na drodze. Dotarł do zagrody za rampą i wmieszał się w tłum wenusjańskich obywateli witających rabusiów w domu i cieszących oczy widokiem białych jeńców, którzy wkrótce mieli zostać wyprowadzeni ze statku.

Ron ruszył przez tłum w kierunku wyjścia. Nie znalazł tam nikogo, kto by go zatrzymał, i wyszedł na ulicę. Tam zwiększył tempo i ogarnęło go krótkie uniesienie. Najwyraźniej to wszystko było tylko grą jego wyobraźni!

Potem odkrył dwóch podążających jego tropem Wenusjan i zdał sobie sprawę, że było wręcz odwrotnie. Został zauważony. Z pewnością wiedziano, że jest agentem wywiadu.

Ale co to była za gra? To pytanie przyszło mu do głowy po godzinie spędzonej na poruszaniu się po mieście i gdy wiedział już ponad wszelką wątpliwość, że ci ludzie go śledzą. Czy spodziewali się, że doprowadzi ich do kogoś? Jeśli tak, to do kogo?

Zastanawiał się, czy rozsądnie będzie spróbować uciec im od razu w tej chwili, czy poczekać na bardziej sprzyjającą okazję. Gdyby spróbował im się urwać i nie udałoby mu się, mogliby go aresztować na miejscu.

Wałkując tę kwestię w myślach, znalazł się koło ulicznej kawiarni na pierwszym poziomie ruchliwej ulicy. Opadł na krzesło i zobaczył, że jego dwu aniołów stróżów natychmiast się zatrzymało i niby przypadkiem oparło się o ścianę, jakieś pięćdziesiąt metrów dalej.

Kiedy przyszedł kelner, Ron zamówił butelkę Bizanta i wypił cały kieliszek na raz. Nie spał dobrze w czasie podróży z Ziemi, nie miał też zbyt dobrego apetytu, a alkohol napiął jego i tak już wytężone nerwy.

Cała jego istota pałała żądzą działania. Był zmęczony tą zabawą w kotka i myszkę. Pod wpływem trunku miał ogromną ochotę zakończyć to wszystko raz i na zawsze.

Krótko mówiąc, przestał myśleć jak agent wywiadu, a kiedy pojawił się niebieski Merkurianin, ciągnący za sznurze białą Ziemiankę, Ron musiał walczyć ze sobą jak nigdy dotąd. Jego podsycony alkoholem ogień gniewu rozbłysnął jasnym płomieniem i młody człowiek chwycił obiema rękami krawędź stołu, aż pobielały mu knykcie.

Siedział z zaciśniętymi zębami i patrzył, jak dwaj wenusjańscy żołnierze obmacują dziewczynę obscenicznymi gestami. Czekał na wybuch konfliktu, który nie nadchodził.

Potem, gdy kłopoty minęły, a niebieski Merkurianin szarpnął okrutnie za linę, Ron przegrał swoją walkę. Zerwał się z krzesła jak pocisk. Do

diabła z otrzymanym zadaniem! Do diabła ze wszystkim. Musiał ukręcić arogancki łeb temu niebieskiemu Merkurianinowi albo kompletnie oszaleje.

Usłyszał głos – swój własny – krzyczący:

— Ty żółwiopodobny sukinsynu! Rzuć tę linę! — i rzucił się prosto na niebieskiego człowieka.

IV

Tanton, leżąc wygodnie na kamiennej podłodze swojej celi, skłonny był do filozoficznego potraktowania całej sprawy. Nie bał się śmierci, niczego też nie żałował. Przez wszystkie lata swej niebezpiecznej gry wiedział, że pewnego dnia to się stanie. Jego przebiegłe intrygi, wypraktykowane w celu osiągnięcia własnych celów na praktycznie każdej zamieszkałej planecie, zawsze kończyły się sukcesem. Wiedział jednak, że pewnego dnia przy jednej z nich spudłuje i wtedy będzie skończony.

W tym przypadku zdawał sobie sprawę ze swego błędu. Źle ocenił szefa Tajnej Służby. Struktura jego intrygi była w zasadzie dobra, poza jedną rzeczą. Zbyt mocno zaufał pragnieniu Valcana zdobycia pięknej Margot – jego żądzy prestiżu wynikającego z jej posiadania.

Mógł tylko wzruszyć ramionami nad swoim błędem i zapomnieć o nim. Nieco drażniło go, że w biurach ziemskiego wywiadu zostanie oznaczony jako ktoś, kto nie wykonał zadania. Ale to też nie miało większego znaczenia. Nie pozostanie przy życiu aż tak długo, aby cierpieć z powodu tego upokorzenia.

Z tą myślą w głowie położył się spać.

Następnego ranka obudził się, słysząc kroki w korytarzu. Piec do grillowania, bez wątpienia, osiągnął już wymaganą temperaturę. Kroki ustały i drzwi się otworzyły.

Był to jednak tylko strażnik niosący tacę z jedzeniem i dzbanek wody. Strażnik postawił jedzenie i odszedł. Tanton uznał, że najwyraźniej zamierzają go nakarmić przed śmiercią. Był za to wdzięczny i z zapałem zabrał się do pracy nad tacą.

Po zjedzeniu poszedł z powrotem spać. Kiedy się obudził, małe okno, wysoko w celi, było ciemne. Nadeszła noc. Minął dzień jego egzekucji, a on wciąż żył.

To go zaskoczyło. Ale gdy dzień za dniem mijał równie monotonnie i nie widział nikogo poza milczącym strażnikiem z tacą i dzbankiem, jego zdziwienie rosło, wraz z upływem czasu.

Co tam było nie tak? I wtedy nagle - wiedział już, a jego wiara we własne siły wystrzeliła wysoko w górę. Nie przegrał. W żadnym wypadku nie, czuł teraz walkę toczącą się w głowie Valcana – był w stanie przeanalizować ją równie dokładnie, jakby Valcan zszedł na dół, aby mu o niej opowiedzieć.

Szef Tajnej Służby miotał się między chciwością a strachem. Na początku strach był silniejszy. Z tego powodu wtrącił Tantona do celi, ale chciwość powstrzymywała go, dzień po dniu, przed podpisaniem nakazu egzekucji.

Tanton powrócił na nowo do życia i zaczął się zastanawiać, jak długo Valcan wytrzyma. Tygodnie zamieniły się w miesiące, minęły ich całe cztery, podczas gdy Tanton tył i leniuchował w swojej celi.

To musi być niezła walka, powiedział do siebie. Ciekawe, jak długo wytrzyma? Następnego ranka, jak zwykle, w holu rozległy się kroki, ale rym razem bardziej energiczne, z tonem dominującego autorytetu.

To był Valcan.

Wszedł do celi i stanął przy Tantonie, który leżał wyciągnięty na podłodze.

— Minęło sporo czasu — zauważył Tanton.

— Nie mogłem się zdecydować. Wciąż nie jestem przekonany, że…

— Ale dojrzał pan do tego, by ruszyć z tym naprzód?

Valcan zerknął niespokojnie w stronę drzwi, po czym kontynuował przyciszonym głosem.

— To nie jest takie łatwe, jak myślisz. Zwłaszcza teraz, gdy zostałeś przekazany do więzienia. Jedyne, co mogę zrobić, to dopilnować, żebyś uciekł. Wydam twojemu strażnikowi rozkaz, aby wskazał ci drogę ucieczki – przejście na drugi poziom ulicy za budynkiem. Potem, gdy już uciekniesz, zejdę na dół i zabiję go za zaniedbanie obowiązków.

— Sprytna procedura — stwierdził Tanton i jego słowa były całkowicie szczere. Sam nie raz w swojej karierze był winien równie zdradzieckich czynów.

— Ale kiedy już znajdziesz się za murami, będziesz musiał radzić sobie sam. Ja będę zmuszony postawić w stan gotowości każdego człowieka. A jeśli cię schwytają, nie przeżyjesz wystarczająco długo, aby rzucić na mnie oskarżenie.

— Proszę się nie martwić — powiedział Tanton, wesoło. — Nie mam w zwyczaju dawać się złapać.

— A więc gdzie mogę się z tobą spotkać po tym, jak się uwolnisz?

— Która jest godzina?

— Nieco po trzynastej.

— Niech pan spotka się ze mną o osiemnastej, na pierwszym poziomie Promenady Darrien i małej uliczki zwanej Antor. I proszę przyjść samemu. W przeciwnym razie nie zostaniemy wpuszczeni do Podmiasta.

Valcan przez chwilę milczał, a potem powiedział.

— Zdaje mi się, że mówiłeś, iż będę mógł zabrać ze sobą z Podmiasta Margot. W przeciwnym razie…

— To będzie pański przywilej. I będzie pan mógł wziąć również milion credas.

— To nie ma znaczenia. Mam już dobrze ponad dziesięć milionów kredytów.

Tanton podniósł się na nogi.

— Dlaczego więc nie poda mi pan teraz lokalizacji emitera promieni — zasugerował. — To może zaoszczędzić nam czasu i sprawi, że Tza-Necros przyjmie pana w lepszym nastroju.

— Myślisz, że jestem głupi?

— Miałem nadzieję, że tak, ale chyba się myliłem — odparł Tanton. — Kiedy przyjdzie strażnik?

— W ciągu godziny — powiedział Valcan. — I pamiętaj, będziesz miał nie więcej niż pięć minut, zanim zostanie ogłoszony alarm. Żegnam teraz – mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy.

— Przy Promenadzie i ulicy Antor. Godzina osiemnasta.

Piętnaście minut później Tanton stał sam w małej uliczce za więzieniem. Za kolejne pięć minut Valcan osobiście zabije strażnika Tantona i ogłosi alarm, w celu pojmania agenta.

W ciągu tych darowanych kilku minut, Tanton poruszał się szybko, ale nie dość szybko. Zanim zdążył przepchnąć się do międzymiastowego wagonu odrzutowego, w siedzibie Tajnej Służby włączono główny przełącznik i wszyscy piloci, na czerwony sygnał, posłusznie zatrzymali swoje pojazdy. Kordon został rozciągnięty wokół obszaru o powierzchni mili kwadratowej, którego centrum stanowiło więzienie. Ze sprawnością wskazującą na długą praktykę, Służba przystąpiła do działania, kontrolując i wypuszczając ludzi z tego terenu przez bramki obrotowe, jednego po drugim, i nakazując im nie wracać, dopóki Służba nie opuści obszaru zamkniętego.

Tanton został zgrabnie złapany w pułapkę.

Wiedział, jaki czeka go los, jeśli zostanie schwytany. Szybka śmierć. Bez wątpienia ludzie ze Służby otrzymali rozkaz, by zestrzelić go natychmiast po identyfikacji.

* * * *

Zatrzymawszy się w bocznej uliczce, aby się rozejrzeć w sytuacji, Tanton zaczął szukać drogi ucieczki. Ale choć był niesamowicie sprytny, nie potrafił czynić cudów. Jego błyskawicznie działający umysł przeanalizował sytuację i wydał negatywny raport. Nie było żadnego wyjścia. Wszyscy cywile w okolicy zostaną sprawdzeni przy bramkach wyjściowych. Następnie cała mila kwadratowa zostanie przeczesana przez ludzi idących łokieć w łokieć. Nie ma możliwości ucieczki.

Tanton cofnął się w najbliższe drzwi, gdy na opustoszałej ulicy rozległy się kroki. Chwilę później zza rogu wyszedł ogromny człowiek, Marsjanin, i ruszył w kierunku Tantona. Wychylając głowę, Tanton zobaczył najpierw Marsjanina, a potem praktycznie nagą Ziemiankę, którą góral ciągnął za sobą korzystając z liny obwiązanej wokół szczupłej talii tej ostatniej.

Tanton błyskawicznie ocenił dziewczynę. Była to niewątpliwie Amerykanka, pochodząca z jakiegoś miasta niedawno napadniętego przez Wenusjan. Obwisłe gładkie ramiona, strach i brak nadziei w oczach świadczyły o tym, kim była. Łupem. Dziewczyną złapaną przez Marsjanina podczas napadu, a teraz jego własnością, z którą może zrobić co zechce.

Kolejna kwestia była dla Tantona ważniejsza. Ten Marsjanin najwyraźniej szukał jakiegoś odludnego miejsca – jakiegoś opustoszałego zaułka lub alejki, gdzie mógłby zbadać swoją zdobycz w spokoju i bez świadków.

Wtedy w umyśle Tantona zrodził się plan ratunkowy – uratowania samego siebie. Gdyby był w stanie się uśmiechnąć, zrobiłby to, gdy wyszedł zza drzwi i ruszył w stronę Marsjanina i schwytanej dziewczyny.

Marsjanin, który od razu nabrał podejrzeń, pociągnął dziewczynę ostro do przodu i wepchnął ją za siebie, patrząc na Tantona. Ten ostatni podszedł do niego z niewinnym zainteresowaniem, i wyciągnął szyję, by zerknąć za Marsjanina. Zauważył przy tym czerwoną pręgę pod liną oplatającą talię bujnej dziewczyny z Ziemi.

— Rzadka zdobycz — powiedział Tanton. — Czy jest na sprzedaż? Zapłacę dwieście credas złota. Sto pięćdziesiąt platyny.

— Moja — warknął Marsjanin. — Złapałem ją w czasie rajdu.

— Oczywiście, że jest twoja, ale ja chcę ją kupić. Zapłacę.

Marsjanin zastanowił się przez chwilę.

— Sprzedam ją, ale jeszcze nie teraz. Za dwa dni wrócę z nią w to samo miejsce o tej samej porze. Wtedy sprzedam.

Z kolei Tanton zdawał się rozważać jego słowa, ale Marsjanin tak naprawdę nie miał pojęcia, co siedzi w głowie Merkurianina. Nie miał on przecież przy sobie ani jednego creda i wcale nie miał zamiaru kupować dziewczyny. Nie miał też żadnej broni. Stąd pozorne zastanawianie się nad propozycją Marsjanina, które w rzeczywistości było podstępem mającym na celu podejście do tego człowieka – na tyle blisko, by wyszarpnąć mu pistolet zam z uprzęży.

W końcu Tanton pokręcił głową.

— Nie. Chcę ją teraz – nie po tym, jak ją uszkodzisz. Nie interesują mnie rzeczy z drugiej ręki. Zapłacę trzysta w złocie.

Marsjanin zrobił to, na co Tanton liczył – odwrócił głowę, by popatrzeć na dziewczynę i zastanowić się, czy nie znajdzie więcej przyjemności za pieniądze w jakiejś wenusjańskiej knajpie z wódką i ciałami na sprzedaż, niż z tą szczupłą brązową ziemską dziewicą.

Odwrócił się tylko na chwilę, ale wystarczyło to by dłoń Tantona wystrzeliła i wróciła, trzymając pistolet zam żołnierza. Marsjanin zaalarmowany próbował się obrócić, ale jego mózg prawdopodobnie nie zdążył nawet uformować wzorca strachu, bo w tej samej chwili jego głowa zniknęła, zwęglona do postaci czarnej skorupy przez promień wystrzelony z pistoletu zam.

Gdy wielkie ciało rozpływało się na bruku, Tanton wyrwał linę z pozbawionej życia ręki i powiedział do skulonej dziewczyny:

— Teraz jesteś moja. Masz iść ze mną spokojnie i trzymać gębę na kłódkę. W przeciwnym razie sprzedam cię w pierwszym domu z ciałami na sprzedaż, do którego dojdziemy.

Dziewczyna zajęczała i spuściła głowę w kompletnej porażce.

Kilka minut później, Tanton, teraz z pozoru na wpół pijany, przedzierał się w kierunku jednej z bramek obrotowych ustawionych przez Tajną

Służbę. Wykrzykiwał jakąś ordynarną, merkuriańską pieśń o piciu i wydawał się zaskoczony i zdumiony, gdy zobaczył przed sobą barykadę.

— Co to ma znaczyć? — zaczął wypytywać młodego porucznika Służby. — Kto staje na drodze żołnierzowi Darriena? Na bok, albo cię usmażę.

Oczy porucznika utkwione były w ziemskiej dziewczynie, tak jak Tanton się spodziewał. Dla młodego Wenusjanina, Tanton był oczywiście triumfującym i szczęśliwym żołnierzem, który chełpił się swoimi łupami przed każdym, kto chciał na to patrzeć. Odrywając swe rozgrzane spojrzenie od dziewczyny i niemalże nie patrząc na Merkurianina, porucznik zerknął na kartkę z zapiskami w swojej dłoni i machnął na Tantona ręką. Gdy dziewczyna szła za nim, starając się złożyć ramiona tak, by skryć choćby część swej nagości, poczuła, jak dłoń porucznika przesuwa się niby przypadkowo po jej ciele. Zadrżała i zareagowała na szarpnięcie liny w ręku Tantona.

— Chodź, dziewczyno — pośpieszył ją Tanton. — Nikt nie będzie zagradzał drogi najeźdźcy Ziemi.

Tanton nie dawał dziewczynie odpocząć, pędząc dalej przez miasto. Największe niebezpieczeństwo już minęło, ale cała Służba została zaalarmowana i w każdej chwili mógł zostać zatrzymany do kontroli, choć dzięki jego maskaradzie było to wątpliwe.

Trzymał się bezpośrednich głównych arterii na pierwszym poziomie, uważając, że zuchwałość jest dobrym pomysłem i nie miał żadnych problemów, dopóki nie znalazł się w odległości ćwierci mili od swojego celu – najbliższego wejścia do Podmiasta, o którym wiedział.

I tak, gdy bezpieczne miejsce było już prawie na wyciągnięcie ręki, został spostrzeżony przez dwóch zuchwałych wenusjańskich wojowników. Ich pożądliwe oczy rozbłysły na widok dziewczyny, a gdy Tanton przeciągnął ją koło nich, położyli na niej swe ręce. To był możliwy kłopot i trzeba było stawić mu czoła. Tanton warknął, ciągnąc dziewczynę w swoją stronę.

— Moja — wysyczał i chwycił za kolbę pistoletu zam.

Ale reakcja Wenusjan była odmienna, niż się spodziewał Tanton. Byli w przyjacielskim nastroju – co jest u Wenusjan rzadkością – i roześmieli się tylko wesoło, idąc dalej swoją drogą. Tanton odetchnął z ulgą. Bijatyka w tym miejscu, przyniosłaby Tantonowi fatalne w skutkach dochodzenie.

W momencie, gdy Tanton wracał na swój szlak, kłopoty zaatakowały go z innej strony. W postaci najwyraźniej obłąkanego Ziemianina – przystojnego młodzieńca w uprzęży żołnierzy Darriena, który rzucił się Tantonowi do gardła z pobliskiego stolika kawiarnianego.

Tanton, nie mogąc dobyć broni, odwrócił się by przyjąć atak i upadł pod naporem jego szaleńczej furii. W uszach zahuczał mu grzmiący głos:

— Ty żółwiopodobny sukinsynu! Rzuć tę linę!

Głowa Tantona mocno walnęła o chodnik, ale nie wyrządziło mu to najmniejszej szkody. Jego czaszki nie dałoby się rozłupać ręcznym toporem, tak gruba i twarda była jej powłoka.

Ale miał wrażliwy punkt na szyi i Ziemianin najwyraźniej o tym wiedział, bo trzymał głowę Tantona w obu rękach i wykręcał ją z całej siły.

Jeszcze trochę i głowa mogłaby się odłamać u podstawy karku. Wtedy szalony Ziemianin mógłby ją oderwać jak odkręconą gałkę od drzwi.

Tanton naprężył się – uniósł się do góry – i jego oczy znalazły się na linii klatki piersiowej Ziemianina. Tam, prawie niewidoczne, znajdowało się cienkie niebieskie przeszycie, które oznaczało, że jego napastnik jest tym, kim był – agentem wywiadu ziemskiego.

Tantonowi szybko przemknęło przez głowę, że ten człowiek jest hańbą dla swojej planety. Stracił głowę podczas wykonywania zadania.

Nie zmieniało to jednak faktu, że Tanton był również bliski utraty własnej głowy. Szarpnięciem przyciągnął Ziemianina blisko do siebie i zazgrzytał zębami.

— Przestań, głupcze! Spójrz na moją tunikę! Ja też jestem agentem. Nazywam się Tanton.

Jego słowa przebiły się do umysłu Ziemianina i uspokoiły maniakalną furię jego ataku. Wyraz twarzy człowieka zmienił się na skrajne zdumienie i napastnik rozluźnił swój uścisk na udręczonej głowie Tantona.

— Musimy stąd natychmiast uciekać — wysyczał Tanton. — Ludzie ze Służby wsadzą nas do więzienia i będziemy zgubieni. Tłum się już zbiera.

Ron Kratnick widział, że to prawda. Przechodnie zatrzymywali się, aby obserwować bijatykę i na chodniku zaczęło robić się tłoczno.

— Zrzucę cię z siebie — wyszeptał Tanton. — Potem wstanę i ucieknę z dziewczyną. Ty biegnij za nami, aż zobaczysz, że skręcam w uliczkę, ale do tego czasu nie doganiaj nas.

Po tych słowach, niebieski Merkurianin potężnie się szarpnął, posyłając Rona Kratnicka do pobliskiego rynsztoka. Natychmiast Ron złożył się w pół, jakby z bólu, jak gdyby sparaliżował go jakiś niewidoczny cios.

Merkurianin błyskawicznie zerwał się na nogi i ruszył galopem w dół ulicy, ciągnąc za sobą jęczącą dziewczynę. Z rozsądnym opóźnieniem czasowym, Ron również pozbierał się i pobiegł za uciekającym Merkurianinem.

Biegnący z przodu z dziewczyną Tanton, zauważył że nie może poruszać się zbyt szybko. Dziewczyna miała bose stopy i nie była przyzwyczajona do biegania z pełną szybkością po ulicach miasta. Potem jednak Tanton obejrzał się za siebie i stwierdził, że Ziemianin utyka, co opóźnia jego pogoń. Tak więc odległość między nimi pozostawała prawie niezmieniona.

Kiedy po raz drugi obejrzał się za siebie, Tanton zobaczył coś jeszcze. Dwaj Wenusjanie, najwyraźniej wywiadowcy, którym polecono śledzić Ziemianina, otrząsnęli się z zaskoczenia szybkim obrotem spraw i ruszyli w pościg. Na szczęście Wenusjanie byli powolni, ale i tak dystans między nimi a Ziemianinem szybko się zmniejszał. Tanton z zadowoleniem zauważył, że Wenusjanie nie wyciągnęli broni. Najwyraźniej czuli się na siłach, by złapać Ziemianina żywcem.

Tanton pociągnął okrutnie za linę, zmuszając Ziemiankę do zwiększenia prędkości i z uczuciem ulgi dotarł do zaułka, w stronę którego biegł. Wciągnął dziewczynę w wąskie przejście, po czym wysunął głowę za krawędź budynku i spojrzał wzdłuż ulicy.

Kontuzja Ziemianina w magiczny sposób zniknęła, a on sam pomknął w górę ulicy z prędkością, która sprawiła, że Wenusjanie nie zdążyli chwycić za swoje pistolety zam.

Po chwili Ziemianin wyhamował, aby skręcić i wślizgnąć się do alejki obok Tantona.

— Co teraz? — zapytał Ron, łapiąc oddech.

— Wywiadowcy — powiedział Tanton, trzymając już w dłoni swój pistolet zam. — Ty weźmiesz tego niskiego. Ja przetnę na pół tego wysokiego.

Gdy dwaj Wenusjanie zbliżyli się i wpadli w wejście alejki, zginęli natychmiast, gdy promienie z dwóch pistoletów zam usmażyły różne części ich anatomii, zmieniając je w szczątki twardej czarnej skorupy.

Gdy mężczyźni upadli, Tanton wystąpił do przodu i spryskiwał ich ciała pistoletem zam, aż z każdego z nich nie zostało nic poza paroma kawałkami skorupy.

Obserwując to brutalne unicestwienie, Ziemianka szlochała i kołysała się pod ścianą, wyraźnie była już u kresu sił.

— Nie robię tego, dlatego że sprawia mi to przyjemność — warknął Tanton, — ale nie możemy zostawić żadnych szczątków, które mogłyby zostać później odkryte. Jesteśmy za blisko wejścia do Podmiasta. Przy okazji — warknął do Rona, gdy jego pistolet zam wyrzucał z siebie niszczące promienie cieplne, — od kiedy Wywiad zatrudnia takich głupców jak ty?

Ron Kratnick zarumienił się w półmroku uliczki. Ale zrezygnował z obrony przed tą obelgą, bo nie miał się czym bronić. Zachował się jak głupiec, zgadza się – jak nieopierzony uczniak – i ten incydent mógł łatwo zakończyć jego karierę jako agenta.

— Nie… Nie wiem, dlaczego to zrobiłem! — powiedział. — Wiedziałem, że ci wywiadowcy idą za mną i uznałem, że sytuacja jest beznadziejna, skoro wszyscy inni agenci nie żyją. Musiałem wykonać jakiś gest sprzeciwu, zanim mnie zabiją. To jest moje pierwsze zadanie z dala od Ziemi i…

— …i jeśli nadal będziesz podążał tą drogą, to będzie to twoje ostatnie zadanie — wtrącił Tanton. — Jak się nazywasz?

— Ronald Kratnick. Ranga-S. Dziewięć udanych przydziałów.

— Musiałeś mieć do diabła szczęścia — zauważył kwaśno Tanton, czyszcząc teren dokoła z ostatnich niespalonych kawałków ciała. — I dziękuj niebiosom, że tak cię oceniam, i że nie będę musiał wbijać do głowy zarozumiałemu młodemu przemądrzalcowi jego prawdziwego, naturalnego poziomu.

Ron poczuł, że pod wpływem tonu i słów Merkurianina, wzbiera w nim żar. Ale szybko go stłumił, wiedząc, że zasłużył na krytykę. A poza tym, był to wielki Tanton. Przyjmował słowa krytyki od najlepszego agenta Ziemi i nie żywił za to urazy – a przynajmniej nie zewnętrznie.

— Oczywiście przyjmę pańskie rozkazy — oznajmił sztywno Ron.

Po zakończeniu swojej roboty, Tanton odwrócił się i wskazał na dziewczynę.

— Lepiej ją ponieś — powiedział. — Ona jest już prawie wykończona. Musimy zejść do Podmiasta, zanim będzie mogła się zatrzymać i odpocząć. Lepiej odetnij od niej tę linę.

— Podmiasto? — spytał ze zdziwieniem Ron.

Słyszał plotki o tym strasznym miejscu – opowieści o jego okrucieństwie i nieprzyzwoitości, ale nigdy nie był pewien, czy istniało naprawdę. Wyjął nóż z plecaka i odciął linę od ciała dziewczyny. Gdy to zrobił, Tanton przemówił do niej:

— Bardzo mi przykro, że musiałem potraktować cię tak brutalnie — powiedział, — ale moje działanie musiało być przekonujące, zarówno dla twojego, jak i mojego dobra. Jak masz na imię, dziewczyno, i skąd pochodzisz?

Przez chwilę nie odpowiadała, a jej wyraz twarzy wskazywał na skrajne zmieszanie. Potem wyszeptała:

— Glory Evans. Zostałam schwytana podczas napadu na Smithton w Tennessee.

— Mów głośniej, dziewczyno — powiedział Tanton w miarę miłym głosem. — Jesteś teraz wśród przyjaciół. Znajdziemy ci ubranie i bezpieczne schronienie, tam na dole.

Glory Evans nie zareagowała na te słowa z jakąkolwiek dozą wdzięczności. Zamiast tego, jej strach pogłębił się. Nawet na Ziemi słyszała o okropnościach Podmiasta. Dla niej wydawało się ono niewiele różnić od losu, od którego została uratowana.

— Teraz już wszystko się ułoży — zapewnił ją Tanton, — ale musimy iść dalej. Ja będę prowadził. Ty, dziewczyno, idź za mną, a ten tu Dziewięć Udanych Przydziałów, będzie nam osłaniać tyły.

Ron przyjął sarkazm w milczeniu i cała trójka ruszyła w głąb uliczki, by zatrzymać się przy czymś, co wyglądało na opuszczoną plastikową ruderę. Tanton wystukał na panelu drzwi kod.

Podczas gdy czekali, Ron zastanawiał się, jak drzwi, które otwierały się na zewnątrz, mogą zostać użyte, zanim nie przesuną leżącej przed nimi ogromnej sterty śmieci. Wkrótce miał się tego dowiedzieć.

Po kilku minutach, w czasie których najwyraźniej byli dokładnie obserwowani z jakiegoś ukrytego punktu obserwacyjnego, drzwi otworzyły się. Ale wsunęły się do środka, razem z ramą i wszystkim, na zawiasach sprytnie zasłoniętych paskami plastiku. Tanton dał znak i wspięli się po stercie śmieci, wchodząc do małego pomieszczenia za nimi.

Stróżem tego wejścia do Podmiasta był mały, podstarzały Ziemianin. Jego usta otworzyły się, ukazując bezzębną szczękę, i powiedział:

— Możesz zejść na dół – na rozkaz Margot – ale nie mam dla ciebie eskorty.

Tanton odetchnął z ulgą słysząc te słowa, gdyż obawiał się, że rozkaz zezwalający mu na wejście do Podmiasta w towarzystwie innych osób został odwołany. Powiedział Margot, że wróci za trzy godziny. A minęły już prawie cztery miesiące.

Stary Ziemianin wcisnął panel w czymś, co wyglądało jak lity kamień, i Tanton przeszedł przez niego do tunelu oświetlonego parą osłoniętych przed kurzem lamp levon. Kiedy dziewczyna zawahała się, niebieski

Merkurianin chwycił ją za ramię i pociągnął za sobą. Jego zachowanie nie było szorstkie, ale było o wiele bardziej stanowcze niż łagodne.

— Nie mamy tyle czasu, aby tracić go na uprzejmości — rzucił ostro.

Po przejściu przez panel, Tanton odwrócił się i gestem zabronił odźwiernemu go zamykać.

— Dalej będziecie musieli pójść sami — powiedział do Rona. — We dwoje. Mam umówione spotkanie o osiemnastej, na którym muszę się pojawić. Dam ci notatkę dla Margot i mapę, jak do niej dotrzeć. Nie mów Margot, że jesteś agentem. Wyjaśnię wszystko w notatce, a ona udzieli wam schronienia.

Tanton napisał coś szybko w notatniku, który wyjął ze swojej paczki z wyposażeniem. Potem, na innym kawałku papieru, narysował mapę i wręczył obie kartki Ronowi.

— Tak jakby sprawy nie były wystarczająco trudne, w obecnej sytuacji — warknął. — Na dodatek do wszystkiego innego, musiałem jeszcze zostać obarczony parą zagubionych w lesie dzieci.

Ron zarumienił się.

— Proszę posłuchać… — zaczął.

— Wykonaj rozkazy — ostro rzucił Tanton. — Idźcie za tą mapą, a wszystko będzie w porządku. — Wyszedł przez panel tak jak wszedł – po czym odwrócił się. — I trzymaj pod ręką swój pistolet zam. Natkniesz się tam na kilku paskudnych osobników. Pistolet zam to jedyny język, który rozumieją.

Z tymi słowy zniknął. Panel zatrzasnął się, pozostawiając Rona Kratnicka i Glory Evans samych pod levonową lampą, u szczytu długich schodów. Uraza Rona do zachowania Tantona była ciągle jeszcze obecna w jego głosie, kiedy powiedział:

— Cóż, równie dobrze możemy się zbierać. — Był zły, że został upokorzony przed tą uroczą dziewczyną i, nieświadomie, wyładował to na niej. — Podaj mi rękę — polecił jej. — Poprowadzę nas.

Glory nie odpowiedziała i – z ręką mocno wciśniętą w jego dłoń – ruszyła za Ronem długim rzędem schodów.

U dołu schodów znajdował się tunel, oświetlony w nieregularnych odstępach przez lampy levon, ciągnący się, jak się wydawało, w nieskończoność. Cisza wokół nich zdawała się być żywym, złowrogim stworzeniem, czekającym tylko, aby przy pierwszej okazji zaatakować. Po przejściu stu jardów, Ron zatrzymał się i popatrzył na mapę Tantona.

— Nie powinno być trudno ją znaleźć, ale musimy mieć oczy szeroko otwarte. Nie wiadomo, jakie istoty żyją w tym bagnie.

W miarę jak posuwali się dalej, cisza została zakłócona, nie przez jakiś raptowny dźwięk, ale powoli, niezauważalnie, jak liście poruszane przez wietrzyk w lesie. Potem, stopniowo, dało się w tym słyszeć nową nutę, która przerodziła się w zwykły bełkot – wszystkich języków i dialektów Wszechświata, chichoczących i bełkoczących w ciemności.

Dziewczyna przytuliła się do piersi Rona

— Czuję je — wyszeptała z przerażeniem. — Oczy w ciemności, wwiercające się we mnie! W co… w co my się wpakowaliśmy?

— Musimy iść dalej — odparł Ron. — Takie były rozkazy Tantona. Muszę ich posłuchać.

— Czy obiecasz mi coś? — Glory Evans zawahała się. — Obiecaj, że mnie zabijesz, jeśli… jeśli…

— Jeszcze nie jest aż tak źle — odpowiedział Ron. — Te stworzenia tu na dole wiedzą, że lepiej nie stawiać się pistoletowi zam. Pewnie są tylko ciekawe, kim jesteśmy.

Ron, kompletnie nie mający doświadczenia, jeśli chodzi o Wenusję, wsłuchał się w bełkot i uznał, że był on wywołany strachem. W ten sposób zupełnie źle zinterpretował coraz wyższy jego ton.

Te ukryte w ciemnościach stworzenia, te legiony potępionych czające się w podziemiach Wenus, charakteryzowały się diaboliczną inteligencją. Były mądre do tego stopnia, że Ron i Glory zostali już zaklasyfikowani jako dwójka niedoświadczonych Ziemian, a w tunelach rozeszła się wieść, iż Glory jest ziemską dziewczyną, zwierzyną łowną dla pragnień pielęgnowanych w ohydnej ciemności. Wieść rozchodziła się coraz dalej i teraz ton rozmów przesiąknięty był już podekscytowaniem.

Ron i Glory szli coraz dalej, dotarli do wskazanego na mapie Tantona zakrętu i weszli do nowego, szerszego tunelu. Teraz, nagle, zapanowało kompletne milczenie, jak gdyby na niezliczonych ustach w Podmieście, zacisnęła się czyjaś wielka dłoń.

— Widzisz — zauważył Ron. — Przestali.

— Tak, ale dlaczego... dlaczego przestali?

Dla przerażonej dziewczyny brzmiało to jak cisza przed jakąś śmiertelną burzą.

— Wszystko w porządku — powiedział Ron. — Opowiedz mi, co się z tobą działo. Mówiłaś, że zostałaś złapana w obławie?

— Tak — odparła Glory. Szła teraz blisko Rona i mocno zmęczona, nie próbowała już ukrywać swoich pięknych piersi przed jego wzrokiem. Znużona i mocno poobijana, ta daremna próba zachowania skromności musiała wydawać jej się drobnostką w obliczu okropności, którym musiała stawić czoła wcześniej i stawiała czoła nawet teraz. Ron zerknął w dół i jego oczy pochwyciły kontur jej młodego biustu oraz gładką linię ud i nóg. Odwrócił wzrok z poczuciem winy, podczas gdy ona opowiadała: — To się stało w środku nocy. Mieliśmy w miastach strażników, ale nikt nie wiedział, gdzie Wenusjanie uderzą w następnej kolejności i nie było możliwości objęcia strażą każdego miasteczka i wioski. Statek kosmiczny śmignął w dół, i zanim zdążyliśmy się zorientować co się dzieje, te diabły zaczęły wrzeszczeć po ulicach i wyciągać ludzi z domów. Zostałam wyciągnięta z łóżka przez marsjańskiego rabusia i wywleczona z domu. Na ganku zobaczyłem moją matkę, leżała martwa…

— Nie mówmy już o tym — przerwał jej szybko Ron. — Przepraszam, że poruszyłem ten temat. — Potem z lekką goryczą: — Zdaje się, że robię i mówię złe rzeczy, z zadziwiającą regularnością.

Glory Evans wyciągnęła impulsywnie rękę i położyła mu dłoń na piersi.

— Nie wiń się — powiedziała. — Wszystko jest w porządku. Byłeś dla mnie dobry. Ja… ja… nie wiesz, co to znaczy po tym, przez co przeszłam.

— Dopilnuję, żeby już nigdy nikt cię nie skrzywdził — obiecał Ron ciepło. — Mam zamiar…

Dokładnie w tej samej chwili, wokół nich rozpętało się wcielone piekło. Z wychodzących w górze na tunel balkonów – z ciemnych krypt i przejść – wylewała się ogromna armia czystej grozy.

Ron i Glory zobaczyli wyłaniające się stwory w świetle lamp levon, śliniące się, pełzające, biegnące, zeskakujące z góry – pojawiły się w takiej liczbie, że pistolet zam Rona stał się bezużyteczny.

Stworzenia z Planetoid – niektóre z nich mogły być sklasyfikowane jako ludzie, inne niewątpliwie jako zwierzęta niższe – wytwory miejsc, gdzie ewolucja szalała – wyglądały szaleńczo i bez związku z jakimkolwiek znanym prawem przyrody.

Ron uniósł swój pistolet zam i wypalił trzy kończyny sześcionogiej istoty, która ruszyła na niego z jednym wielkim wyciągniętym ramieniem. Z góry nadleciała z sykiem, podobna do nietoperza istota o twarzy Ziemianina i skrzydłach, zrodzona na jakiejś planetoidzie. Ron przeciął ją na dwie części. Upadła z piskiem agonii i wtedy Ronowi wytrącono broń z ręki. Zobaczył, jak olbrzymi Plutonianin sięga ręką i wyciąga Glory ze sterty futrzastych, bełkoczących człeko-małp. Ale nie mógł nic dla niej zrobić. Trzymała go bezradnego w żelaznym uścisku, pokryta łuskami istota, której nie potrafił nawet sklasyfikować.

Usłyszał, jak w pewnej chwili Glory krzyknęła z przerażenia. Potem pogrążył się w kosmatej ciemności, wirując… wirując… gdy jakiś wielki ciężar uderzył go w głowę.

V

Pozbywszy się Rona i Glory, Tanton ostrożnie wrócił na pierwszy poziom Wenusji. Teraz szło mu się łatwiej, bo zapadła noc i skryła go pod użyteczną osłoną ciemności.

Wyszedł z uliczki na jej dalszym krańcu i znalazł się na opustoszałej szerszej ulicy, jakieś dwie mile od skrzyżowania Promenady Darriena i ulicy Antor. Było już dobrze po szesnastej i Tanton pokonał te dwie mile, przemykając od jednego cienia do drugiego, unikając głównych arterii z ich jasnymi lampami levonowymi, na rzecz przyćmionych ulic w dzielnicach mieszkalnych.

Po dotarciu w pobliże Promenady i Antor, Tanton zboczył na lewo i znalazł uliczkę prowadzącą go wzdłuż ściany ogromnego magazynu. Nie przez przypadek wybrał właśnie to skrzyżowanie na spotkanie z Valcanem. Dobrze znał tę okolicę, czego oznaką był sposób, w jaki zlokalizował małe, znajdujące się na poziomie ziemi, okienko prowadzące do magazynu.

Po znalezieniu się w środku, leżał schowany w pojemniku na paliwo, dopóki stróż nie przeszedł obok niego, w swoim cogodzinnym obchodzie. Wtedy Tanton wsiadł do pustej windy i wjechał na czterdzieste drugie

piętro. Wysiadł z windy, wyszedł na dach i pokonał pół mili przez labirynt wentylatorów, aż znalazł się po drugiej stronie budynku. Wskazówka zegara przesunęła się o połowę, od godziny siedemnastej.

Teraz, ze swego punktu obserwacyjnego na krawędzi dachu, mógł spoglądać prosto w dół, na skrzyżowanie, na którym miał się spotkać z Valcanem.

Pod nim widoczna była panorama ogromnej aktywności. Cała sekcja ulicy została wygrodzona linami i mocno oświetlona; wszędzie gorączkowo pracowało mnóstwo ludzi. Działali w grupach, przekopując każdy zakamarek, każdy podejrzany kąt, w którym mogłoby się znajdować ukryte wejście do Podmiasta. Do pracy zostały zaprzężone działka Brita, w celu wycięcia przejść przez skałę. Wszystkie drzwi w okolicy były wyłamane, a nawet fragmenty chodnika zostały kompletnie unicestwione przez promienie Brita.

Tanton nie poświęcił nawet chwili, aby pogratulować sobie, że udało mu się przewidzieć ruch Valcana. Nie miał najmniejszych wątpliwości co do tego, jak postąpi szef Tajnej Służby.

Człowiek ten przede wszystkim chciał zdobyć bezpieczne wejście do Podmiasta. Spryt, z jakim ukrywano te wejścia, był najważniejszym cierniem w boku Darriena. Od czasu do czasu znajdowano fałszywe wejścia, ale zawsze okazywały się one śmiertelnymi pułapkami dla ludzi Darriena. A w dwóch przypadkach, gdy znaleziono prawdziwe wejścia, wyglądało to prawie tak, jakby Tza-Necros sam przekazał te informacje, ponieważ ludzie Króla Podmiasta już czekali na atak wojowników Darriena. I za każdym razem, po rzezi napastników, wejście i dziesiątki leżących pod nim tuneli, były solidnie wypełniane skażoną promieniami skałą, która zapewniała że ceną dalszej ingerencji będzie śmierć.

Tanton uśmiechnął się do siebie na widok samego Valcana, który niespokojnie przechadzał się w dole, odbierając negatywne raporty od swoich oddziałów, i dał upust swej wściekłości, powalając jednego z poruczników na ziemię, jednym uderzeniem pięści.

* * * *

Tanton czekał cierpliwie, a gdy zbliżała się godzina osiemnasta, zobaczył, jak Valcan wzywa swoich ludzi i odsyła ich, grupę za grupą, aż teren praktycznie opustoszał. Przenośne lampy zostały wygaszone i odciągnięte, aż w końcu na miejscu pozostał tylko sam Valcan, teraz prawie niewidoczny, kryjąc się w głębokim cieniu jednych z drzwi.

Tanton, najwyraźniej usatysfakcjonowany, opuścił budynek tą samą drogą, którą do niego wszedł. Wyszedł z uliczki i oparł się swobodnie o ścianę budynku na ulicy Antor, przyglądając się mijającym go przechodniom. Nie było ich zbyt wielu. Po kilku minutach Tanton wybrał dzieciaka, który miał nie więcej niż dziesięć lat, złapał go i przyciągnął do ściany. Wskazał w dół ulicy w kierunku drzwi, w których przyczaił się Valcan.

— Widzisz to wejście? — powiedział do zaskoczonego dzieciaka. — Znajdziesz tam stojącego człowieka. — Tanton wcisnął dzieciakowi do ręki złożoną kartkę papieru wraz z monetą dziesięć credas. — Zanieś mu tę kartkę, i szybko stąd odejdź. On nie zrobi ci krzywdy. Po prostu daj mu kartkę, a potem idź i wydaj sobie te credas.

Puszczony, dzieciak ruszył szalonym biegiem. Tanton przyglądał się, jak ręka Valcana wyłania się z cienia, by wziąć przekazany skrawek papieru. Wyobraził sobie reakcję niezbyt lotnego umysłu Valcana, gdy przeczytał:

Skoro już skończył się pan bawić, przejdźmy do naszych spraw. Proszę przejść siedem przecznic ulicą Antor. Jeśli będą za panem szli jacyś ludzie, będę o tym wiedział. Jeśli spróbuje pan jakiejś sztuczki, bardzo prawdopodobne że będę musiał pana zabić.

Tanton.

Niebieski Merkurianin obserwował, jak Valcan zgniata kartkę i rzuca ją ze złością na chodnik, po czym rozgląda się w górę i w dół ulicy. Tanton widział wręcz niezdecydowanie kotłujące się w myślach Valcana i odetchnął z ulgą, gdy ten w końcu wyszedł z wnęki drzwi i ruszył ulicą Antor z miną nadąsanego dziecka.

Tanton jednak nie poszedł za Valcanem. Zamiast tego szybko wszedł na drugą kondygnację ulicy i pośpieszył długimi krokami w kierunku miejsca spotkania. Tempo jego marszu było na tyle szybkie, że gdy Valcan skończył odliczać siedem przecznic, z ciemnego korytarza przywitał go głos Tantona:

— Cieszę się, że pan oprzytomniał. Proszę pozwolić, że założę panu na oczy tę opaskę.

Valcan skrzywił się i podniósł ręce w sprzeciwie, na co Tanton powiedział:

— Niech pan nie będzie głupi. Już samo to powinno pana przekonać, że jestem szczery. Gdyby zobaczył pan gdzie jest wejście do Podmiasta, wie pan dobrze, że Tza-Necros nigdy nie pozwoliłby panu wrócić żywym.

Szef Tajnej Służby nie sprzeciwiał się już dłużej, pozwolił zawiązać sobie oczy i został poprowadzony z powrotem po okolicznych uliczkach przez przebiegłego Tantona.

Przez jakiś czas, wydawało się że błądzą bez celu. I prawdę mówiąc, tak właśnie było, a w końcu Tanton doprowadził Valcana dokładnie w to samo miejsce, z którego wyruszyli. Było to zresztą miejsce jego pierwszej wizyty w Podmieście, cztery miesiące wcześniej.

Podobnie jak wtedy wyjrzało na nich czerwone oko i po wejściu do środka, usłyszeli błaganie:

— Creda na jedzenie, mój panie. Nieszczęśnik tutaj głoduje, służąc wielkiemu Tza-Necrosowi.

Tanton wiedział, że ten nieszczęśnik jest dobrze odżywiony i że pieniądze pójdą na krótki seans narkotycznej ekstazy. Rozstał się ze srebrnym creda i poprowadził Valcana przez wewnętrzne drzwi w dół do pierwszego tunelu.

Tam zdjął opaskę z oczu swojemu towarzyszowi. Valcan przetarł oczy i popatrzył wzdłuż długiego korytarza.

— Gdybym zdołał dostarczyć Darrienowi informacje o tym miejscu – informacje, dzięki którym można by je było zniszczyć – wkrótce zasiadłbym znacznie wyżej w jego radzie — stwierdził Valcan.

W myślach Tantona pojawiło się brutalne, niewypowiedziane pytanie: „Czy ten głupiec nie zdaje sobie sprawy, że zginie? Jak człowiek może pozwolić, by pożądanie kobiety i żądza prestiżu zaślepiły go na oczywiste fakty? Jak ludzie mogą być tak łatwowierni?”

— Najgorsze szczury są zawsze najtrudniejsze do zabicia — powiedział swobodnie Tanton. — Ale teraz musimy się pośpieszyć. I trzymaj broń pod ręką. Możemy napotkać opór.

Ale nie było żadnego oporu – tylko oczy błyszczące w ciemnych miejscach i obrzydliwy bełkot stworzeń, które od niezliczonych lat nie widziały światła słonecznego.

Tanton zostawił szefa Tajnej Służby w małym przedpokoju prowadzącym do ogrodu Margot – zostawił go pod czujnym okiem wrogo nastawionego młodego Plutonianina – i pospieszył na poszukiwanie Margot.

Odpoczywała na pokrytej futrem sofie, w swym apartamencie. Gdy Tanton wszedł, wstała i ściągnęła szatę wokół swego złotego ciała.

— Myślałam już, że zginąłeś — przywitała go, a Tanton z radością dostrzegł w jej oczach szczerą troskę.

— Trwało to dłużej niż myślałem — odparł Tanton. — Ale nic się nie zmieniło. Pomijając czas, który spędziłem w więzieniu, wszystko poszło bez zarzutu. — Zawahał się przez chwilę. — Nie zmieniłaś zdania, prawda?

Podeszła do niego, ze zmęczonym uśmiechem na twarzy.

— Gdybyś wrócił za trzy godziny, myślałabym zupełnie inaczej. Ale przez trzy miesiące marzyłam o wolności – o pięknej, zielonej Ziemi – i teraz… no cóż, zrobię wszystko – naprawdę wszystko, aby uciec z tego miejsca.

— Doskonale. Pozwól, że cię poinformuję, co trzeba zrobić.

Usiadłszy obok Margot na luksusowej sofie, Tanton bardzo dokładnie wyjaśnił dziewczynie, na czym ma polegać jej rola.

— A teraz przyprowadzę tego głupca — powiedział. — Potem muszę załatwić audiencję u Tza-Necrosa.

Przy drzwiach odwrócił się z powrotem.

— A tak przy okazji, co zrobiłeś z tymi moimi dwoma dzieciakami? Mam nadzieję, że trzymasz ich z dala od niebezpieczeństwa?

Margot odpowiedziała pytającym spojrzeniem.

— Twoje dzieciaki? O czym ty mówisz?

— Dwójka Ziemian, chłopak i dziewczyna, których zabrałem ze sobą, gdy uciekłem z więzienia. Wysłałem ich do ciebie z listem? Chcesz powiedzieć, że nie dotarli tu?

— Oczywiście, że nie. Natychmiast zostałabym o tym poinformowana.

Wiadomość ta zasmuciła nieco Tantona, ale nie za bardzo. Najwyraźniej ci dwoje zostali uwięzieni gdzieś w tunelach. Według wszelkiego prawdopodobieństwa byli już martwi. A szkoda. Dziewczyna była prawdziwą pięknością, a młody agent zdawał się rokować całkiem niezłe nadzieje. Przy odrobinie szkolenia zostałby zapewne dobrym szpiegiem.

Ale jako że żadne z tych dwojga nie było uwzględnione w pierwotnych rozkazach Tantona, nie czuł się za nich odpowiedzialny. W grę wchodziły o wiele poważniejsze rzeczy niż życie tej dwójki. Nie zastanawiając się dłużej nad tą sprawą, pośpieszył przez ogród do miejsca, gdzie niecierpliwie czekał Valcan.

— Ona czeka na pana — poinformował go Tanton. — I muszę powiedzieć, że jest pan rzeczywiście bardzo szczęśliwym człowiekiem. Żałuję, że moje własne szczęście nigdy nie działa aż w tak dużym stopniu na moją korzyść.

Valcan zmarszczył brwi.

— Bierzmy się za tę sprawę. To miejsce mnie denerwuje. Teraz już żałuję, że jednak nie podpisałem tego rozkazu egzekucji.

— Zmieni pan zdanie, kiedy ją pan zobaczy — odparł wesoło Tanton.

Pociągnął Valcana przez wewnętrzne drzwi i zamknął je za nimi.

— Tędy — powiedział i poprowadził Valcana po żółtej, ceglanej ścieżce.

— Nie mogę w to uwierzyć! — wykrzyknął Valcan. — Nie rozumiem, jak takie miejsce mogło tutaj powstać. To jest nie do pojęcia!

— Praca niewolników — stwierdził Tanton, jakby to wyjaśniało całą sprawę. — Margot czeka tam. Chodźmy.

Pokierował Valcana do komnaty Margot, a kiedy ten ostatni zobaczył Margot, leżącą na sofie, zatrzymał się, stając przed nią z zapartym tchem.

— Oto twój nowy pan, moja droga — powiedział Tanton.

Margot podniosła się z sofy.

— Mój panie — mruknęła i podeszła, zmysłowa, omdlewająca, z wyciągniętymi ramionami.

Valcan zrobił krok naprzód, ale zatrzymały go ostre słowa Tantona.

— Chwileczkę. Pozostała nam drobna formalność, zanim będę mógł zostawić was samych sobie.

— Nie rozumiem — odparł Valcan.

— Jestem w stanie zrozumieć dlaczego umknęło to panu z głowy – sprawa lokalizacji emitera. Wykazałem się dobrą wolą, swoją i Tza-Necrosa, sprowadzając pana tutaj. Nadszedł czas, aby pan się wywiązał ze swojej części umowy. Gdzie jest emiter?

Oszołomiony umysł Valcana zajęty był w tej chwili innymi sprawami. Nie odrywając wzroku od bujnego ciała Margot, odparł:

— Zamontowany jest w szarym kamiennym budynku przy alei Neptuna, niedaleko skrzyżowania z Placem Południowym. Na budynku jest szyld zakładu przetwórstwa spożywczego…

Valcan poderwał się gwałtownie, gdy nagle zdał sobie sprawę z tego, co zrobił. Powiedział prawdę! Ten przebiegły Merkurianin wmanewrował go

w pułapkę. Z diabelską przebiegłością zadał swoje pytanie dokładnie w tej chwili, kiedy Valcan opuścił gardę.

Valcan powiedział prawdę i był pewien, że Tanton o tym wie.

W ten sposób, jak Valcan natychmiast zdał sobie sprawę, pozbawił się swej jedynej broni – jedynego środka obrony – i to teraz, gdy wpakował się w coś, co mogło być pułapką.

Szybko jego podejrzenia zmieniły się w przerażającą pewność. Niebieski Merkurianin nie był wysłannikiem Tza-Necrosa! Był agentem ziemskiego wywiadu, wysłanym w celu zlokalizowania i zniszczenia emitera promieni. I – w porozumieniu z tą złotą istotą z Podmiasta, wyciągnął od Valcana informacje, których żadne tortury, nawet najbardziej potworne, nie byłyby w stanie z niego wydobyć.

„Jak mogłem być takim głupcem?" — pytał sam siebie Valcan. Jego oczy z rozpaczą powędrowały w stronę uprzęży, która leżała na podłodze obok sofy Margot.

Ale nie miał szans by dostać w swoje ręce pistolet zam, zapięty w uprzęży. Margot, przygotowana przez Tantona na taką właśnie ewentualność, schyliła się z gracją i wyrwała pistolet z jego uchwytu. Zrobiła krok w tył, trzymając broń gotową do użycia, ale jej twarz zdradzała zarówno niezdecydowanie, jak i gniew.

Ten ostatni był skierowany w stronę Tantona, a nie Valcana, zaś jej czerwone wargi wypowiedziały oskarżenie.

— Wykorzystałeś mnie! — stwierdziła. — To całe gadanie o emiterze promieni. Nie rozumiem o co chodzi, ale wiem, że coś jest nie tak. Co to za intryga, Tanton?

Jej nagłe spostrzeżenie lekko wytrąciło niebieskiego Merkurianina z równowagi.

Nie spodziewał się go w tym momencie. Zaś w chwilę później walczył już o życie, gdy Valcan rzucił się przez pustą przestrzeń między nimi i powalił agenta na podłogę.

— Nigdy nie wykorzystasz tych informacji! — krzyknął Valcan.

Przycisnął ręce Tantona do jego boków, uniemożliwiając mu tym samym wyciągnięcie broni, a następnie objął wolną ręką głowę Tantona, próbując wykręcić ją z ciała agenta.

Tanton zdołał uwolnić lewą rękę, a ból przeszywał cały jego kręgosłup. Zacisnął twardą, pokrytą łuskami dłoń na gardle Valcana i podniósł się do góry, na kolana. Valcan poleciał w powietrze, ale niestety dla Tantona, jego własny pistolet zam, wytrącony z zaczepu na uprzęży, odbił się od podłogi i poleciał daleko poza zasięg jego rąk.

Obaj antagoniści rzucili się w stronę broni. Obaj jednocześnie położyli na niej dłonie. Wtedy rozległ się głos Margot, tak przepełniony strachem i udręką, że aż obaj zamarli w bezruchu:

— Przestańcie! Na miłość boską, przestańcie!

Obaj również usłyszeli ciężkie kroki, które dochodziły z ogrodu przez otwarte wejście. Jak jeden mąż, odwrócili się i wpatrywali w to, co się zbliżało.

Było to wielkie włochate monstrum o ciele olbrzymiej małpy, ale wyprostowane jak człowiek oraz o pewnej godności w ruchach. Dwie pary

długich ramion wyrastały z grubego torsu, na którym osadzona była brzydka głowa planetoidalnego dziwadła. Jedynie oczy tego stworzenia budziły respekt. Były duże, wilgotne, piękne, wiecznie błyszczące. I bez wątpienia dobrze zdradzały one sprawny umysł znajdujący się w głowie Tza-Necrosa.

Towarzyszyła mu straż złożona z czterech Plutonian, każdy z nich uzbrojony w dwa pistolety zam i emiter Brita.

Tanton i Valcan powoli wstali na nogi, zapominając o osobistych różnicach, w obliczu większego niebezpieczeństwa.

— On nas wszystkich pozabija — wyszeptała Margot z przerażeniem. — Zabije nas wszystkich.

Tanton rozglądał się rozpaczliwie w poszukiwaniu drogi ucieczki. Nie było żadnej. Zaczął przekopywać mózg, domagając się planu ucieczki. Ale nawet sprawny umysł Tantona nie potrafił zdziałać cudów. Wyglądało na to, że cała jego sprytna intryga spali na panewce.

„Zawsze znajdzie się jakiś mały element, którego nie da się rozgryźć”, powiedział sobie kwaśno, gdy grube cielsko Tza-Necrosa pojawiło się w drzwiach.

VI

Gdy Ron Kratnick otworzył oczy, wciąż nie był pewien, czy odzyskał świadomość, czy nie. Prawdę mówiąc, roztaczająca się wokół niego sceneria mogła równie dobrze pochodzić z jakiegoś sennego koszmaru. Było to coś absolutnie niewiarygodnego.

Leżał w jakimś miejscu, które wyglądało jak ogromna pieczara. Płonące na środku ognisko rzucało dziwne, pląsające cienie na oddalony sufit i ściany. Ogień oświetlał też krąg ciał i twarzy. Ohydnych ciał i twarzy, które równie dobrze mogłyby być namalowane przez jakiegoś szalonego malarza. Krąg tworzyły przykucnięte obleśne, krwiożercze stworzenia, siedzące w pewnej odległości od ognia, zaś całe pomieszczenie wypełniał nieustanny, przerażający jazgot – ich paplaniny, rechotania i warczenia, w setkach języków i dialektów.

Tuż koło Rona leżało ciało Glory Evans. Jej piękne plecy były skulone, a ona – z podciągniętymi kolanami – chowała twarz w dłoniach. Ron położył rękę na ramieniu dziewczyny. Drżała od stóp do głów, i Ron czuł jak jej ciałem wstrząsa szloch.

Natychmiast paplanina nasiliła się, bo tysiące oczu dostrzegło ten ruch, a potężny głos zaryczał:

— Bądźcie cicho, wszyscy! Skończcie z tą gadaniną, natychmiast, bo obedrę was ze skóry!

Ron odwrócił głowę, i ujrzał stojącego koło ognia Ziemianina. Był olbrzymiej postury, dobiegał blisko siedmiu stóp wzrostu. Miał na sobie

parę postrzępionych portek, oberżniętych tuż nad kolanami. Jego stopy były nagie, a wielką klatkę piersiową pokrywały gęste, kręcone włosy.

Lecz uwagę Rona przykuła przede wszystkim twarz tego człowieka. Twarz, która odzwierciedlała tysiące lat zła. Była pocięta i pokiereszowana w setce bójek, ale – o dziwo – wszystkie zęby potwora znajdowały się na swoim miejscu – duże, równe i białe jak ziemski śnieg.

Mężczyzna trzymał w jednej ręce pistolet zam, a w drugiej długi, czarny bicz, zaś jego sposób zachowania nie pozostawiał wątpliwości, że to on kontroluje sytuację. Ron leżał bez ruchu, podczas gdy głos ogromnego człowieka huczał w całym pomieszczeniu:

— Mieliśmy odrobinę szczęścia, a wy, głupcy, jesteście zbyt durni, aby zdawać sobie z tego sprawę. Nie wiem, czy ten mężczyzna jest cokolwiek wart, ale dziewczyna jest naprawdę cenną zdobyczą.

Z tyłu natychmiast podniósł się chór głosów, pragnących pokazać że wszystkie diabelstwa zgadzają się z mówcą:

— Graaaaa-yaoooo-fffffttaaaa! — i dźwięk przypominający ostre zęby kruszące kości.

Olbrzym trzasnął trzymanym w ręku batem.

— Cisza! Wysłuchajcie mnie! Wysłuchajcie Kalibana, który potrafi was rozerwać na strzępy, po kilkunastu naraz. Czy ktoś w to wątpi?

Zgiełk rozpłynął się w stłumiony pomruk, a ten, który nazywał siebie Kalibanem, mówił dalej.

— Problem polega na tym, że żaden z was nie jest wyposażony nawet w podstawowe umiejętności myślenia. Dziewczyna jest cenną zdobyczą, to prawda, ale co z tego, skoro dziewczyna jest tylko jedna, a nas są setki. Moglibyśmy jedynie o nią walczyć i wielu zostałoby zabitych, a dziewczyna w trakcie walki rozerwana na strzępy.

Gdzieś z tyłu, z cienia, odezwał się jakiś dobitny głos:

— W takim razie zacznijmy ją rozrywać. Ja wezmę sobie ramię i będę zarzucał je na szyję, kiedy będę zasypiał.

Inny głos:

— Ja wezmę…

Ale grubiański śmiech zagłuszył resztę i Kaliban znów zaczął wykrzykiwać.

— Wiemy, że Tza-Necros ma oko na piękne rzeczy. Wiemy, że gdyby pierwszy zobaczył tę dziewczynę, nigdy nie wpadłaby ona w nasze ręce.

Okrzyk zgody.

— A więc, na wszystkie świętości, sprzedajmy mu ją. Jeśli dobrze myślę, Tza-Necros zapłaci nam tyle, że każdy człowiek w Podmieście dostanie co najmniej dziesięć credas. Czyż to nie jest lepsze niż strzępy ciała i prawdopodobnie nic?

Nastąpiła zmiana w tonie paplaniny i rechotania. Pomieszczenie wypełniły teraz szepty, a w ciemnościach toczyły się ciche narady.

— Jeśli się zgodzicie — krzyknął Kaliban — zorganizuję spotkanie z Tza-Necrosem i obiecuję, że nie wrócę z pustymi rękami.

Rozległ się okrzyk aprobaty. Natychmiast Kaliban odwrócił się i szturchnął Rona nogą. Ron podniósł się do pozycji siedzącej, a Kaliban schylił się, by wziąć Glory Evans w ramiona.

— Umieszczę ich w zamknięciu — oznajmił Kaliban, — a potem będę negocjował z władcą.

Dwóch chętnych pomagierów chwyciło Rona za oba ramiona i pociągnęło ze sobą w ślad za wychodzącym Kalibanem. Krąg z jednej strony pieczary rozsunął się i wyszli z niej przez tunel o niskim sklepieniu, prowadzący lekko pod górę. Kilkaset metrów dalej znajdowała się kolejna pieczara; mniejsza, ale wciąż wystarczająco duża, by pomieścić z zapasem miejsca, niewielki kamienny budynek.

Przed drzwiami stało dwóch strażników, ale ich postawa, choć daleka od wrogości, była niemal niechętna, gdy Kaliban powiedział:

— Mamy dla was dwóch lokatorów. Chcemy ich tu zostawić, podczas gdy ja będę załatwiał audiencję u władcy.

Oczy obu gwardzistów utkwione były w ciele Glory, którą Kaliban niósł na rękach jak dziecko.

— Zamierzasz ją sprzedać? — spytał jeden ze strażników.

— Jeśli Tza-Necros będzie chciał ją kupić.

— Ja ją kupię — powiedział drugi. — Dam ci sto credas w platynie.

Wśród mieszkańców Podmiasta, którzy wlewali się teraz do pieczary podniósł się ryk śmiechu.

— Przyjdź, gdy będziesz miał na zbyciu sto tysięcy credas — odparł Kaliban. — Otwórz drzwi.

Strażnik zrobił, co mu kazano, a Kaliban wkroczył do budynku i położył Glory na podłodze. Więzienie składało się najwyraźniej z jednego pomieszczenia, które zajmowało cały budynek. W środku było bardzo ciemno, a jedyne oświetlenie pochodziło z lamp levon znajdujących się za małymi oknami.

Ron został wepchnięty do środka z taką siłą, że upadł na kolana. Usłyszał trzaśnięcie drzwi i przekręcający się klucz w zamku. Potem dudniący głos Kalibana skierowany, najwyraźniej, do strażników:

— Kiedy mnie nie będzie, będziecie bardzo uważnie obserwowani, a więc radzę wam trzymać drzwi zamknięte i siedzieć na zewnątrz.

W tłumie rozległ się ryk zrozumienia. Było oczywiste, że strażnicy nie będą pozostawieni sami sobie. Potem ciężkie kroki Kalibana ucichły w oddali.

Ron podniósł się obolały na nogi i podszedł do Glory Evans, która leżała bez ruchu na podłodze. Uklęknął koło niej i obrócił ją tak, że mógł popatrzeć z góry, na jej twarz. W świetle wpadających do środka promieni lampy levon dostrzegł otwarte oczy o grubych rzęsach. Jego ręka, która nieświadomie opadła na jej pierś, poczuła że unosi się ona i opada, przy oddechu. Natychmiast zabrał dłoń. W jakiś sposób wydawało mu się to, wykorzystywaniem jej bezradności.

Glory nie cofnęła się przed dotykiem Rona. Tak prawdę mówiąc, nie wydawała się go świadoma, a przynajmniej nie tak bardzo, jak współczucia bijącego z jego postawy.

Z nagłą rezygnacją, zalała się łzami i rzuciła mu się w ramiona, a jej zachowanie podobne było do zachowania dziecka; dziecka szukającego litości, czułości, czegoś, co pozwoliłoby jego psychice nie rozpaść się do końca.

Ron trzymał ją mocno w ramionach, gdy wybuchy łez i żalu wstrząsały jej ciałem. Nie odzywał się, pozwolił się jej wypłakać. Zachował milczenie również z innego powodu: nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby powiedzieć – żadne słowa pocieszenia dla tej udręczonej i wycieńczonej dziewczyny. Od przyszłości można było się spodziewać tylko beznadziei, zła i okrucieństwa. Lepiej więc było milczeć.

Po raz pierwszy uświadomił sobie, kim naprawdę jest dla niego Glory Evans. Trzymając jej piękno w ramionach, czując w nozdrzach jej zapach, zdał sobie sprawę, że coś niż więcej uczucie załamania sprawiło, iż tam koło kawiarni, skoczył jej na pomoc. Słyszał już nie raz, że czasami miłość taka właśnie jest; że może pojawić się nagle, bez żadnych wyraźnych oznak, oraz że człowiek może nawet jej nie rozpoznać, jako tego właściwego uczucia.

Teraz już się uspokoiła. Uniosła twarz do jego twarzy, a on mógł zobaczyć w ciemności jej uśmiech.

— Przepraszam — powiedziała. — Przepraszam za to, że jestem dla ciebie takim ogromnym problemem. Masz wystarczająco dużo kłopotów bez płaczącej kobiety na swych rękach.

Bez namysłu, tak naturalnie jakby biorąc oddech, Ron przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Podczas zetknięcia się ich warg, przeszedł przez niego dziwny, mrowiący wstrząs. Nie odsunęła się. Przez długą chwilę leżała nieruchomo, ani nie dając, ani nie biorąc. Potem ożywiła się z nagłą szybkością, która zachwyciła Rona, i przyjęła jego pocałunek z zapałem, z głodem niemalże.

Po chwili długiej jak wieczność, oderwała się od niego i wtuliła w jego ramiona. Przez długi czas nic nie mówili. Potem powróciła gorycz ducha Rona.

— Zawiodłem cię — stwierdził żałośnie.

— Zawiodłeś mnie? Nie mów tak, kochanie. Zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy. Dzięki temu, to będzie łatwiejsze – cokolwiek się wydarzy będzie łatwiejsze – wiedząc o twym uczuciu, czując twoje ramiona wokół mnie… i twój pocałunek.

— Nie jestem dobry. Jasne – na Ziemi oceniany jestem jako zdolny agent – wykonałem dziewięć zadań, ale co to było? Lokalne sprawy – drobiazgi i rzeczy nieistotne przy takim międzyplanetarnym projekcie, jak ten.

— Mylisz się — powiedziała zaciekle. — Nie wysłaliby cię, gdyby nie…

— Wysłali mnie, bo nie mieli nikogo innego! To był odruch desperacji. Nie gram w tej samej lidze, z takimi ludźmi jak Tanton. To jak porównywanie genialnego naukowca, z chłopaczkiem ze szkoły!

Położyła mu palce na ustach.

— Nie pozwolę ci mówić takich rzeczy!

Ale on odsunął jej rękę, a na jego twarzy pojawiła się nagła nadzieja.

— Tanton. Zapomniałem o nim. Przecież, wcale nie musimy być zgubieni! Jeszcze daleko do tego. Z Tantonem na czele, to tylko kwestia czasu. On nas stąd wyciągnie. Stary dobry Tanton. Dopilnuje, żebym miał szansę przynajmniej użyć mięśni, nawet jeśli nie wiem, jak użyć rozumu.

Gdzieś w celi dały się słyszeć słabe odgłosy poruszania się, ale byli tak zajęci sobą, że ich nie zauważyli. Teraz dźwięki te stały się głośniejsze, słychać było chrapliwy oddech i przesuwanie się ciała.

Ron spiął się, usiłując przeniknąć otaczające ich ciemności.

— Słyszałaś to?

Glory uniosła przerażone oczy.

— Tak, w tej celi jest coś jeszcze.

— Może to jakiś gryzoń. Rozejrzę się.

Podniósł się powoli na nogi i próbował oderwać się od Glory, ale ona przytuliła się do niego rozpaczliwie.

— Nie zostawiaj mnie — poprosiła. — Pójdę z tobą. Pozwól mi trzymać cię za rękę.

Razem ruszyli powoli w stronę, z której dochodziły dźwięki. Cela była duża, miała co najmniej sto stóp długości, od ściany do ściany. Wydawało im się jednak, że pokonali całe mile, aż w końcu zauważyli w jednym z rogów leżącą skuloną postać.

— To… to jest człowiek — wyszeptała Glory. — Kolejny więzień. To niebieski Merkurianin!

Ron nachylił się szybko nad postacią. Jego ręce obadały ją. Potem wyprostował się i wyciągnął bezwładne ciało na środek, w przyćmione światło sączące się przez okno.

— To Tanton! — wykrzyknął z kompletnym niedowierzaniem.

VII

Po wyjściu z więziennej pieczary, Kaliban bezbłędnie przemierzał kolejne tunele, aż dotarł do wielkich wrót z brązu, nad którymi świeciło kilka ogromnych rozmiarów lamp levon. Podniósł obydwoma rękoma wielką żelazną kołatkę i pozwolił jej trzykrotnie opaść na wrota. Trzy uderzenia gromu rozebrzmiały w tunelach. Minęło pełne pięć minut, po czym małe drzwi wycięte w wielkiej barierze z brązu, otworzyły się, ukazując dwie odrażające istoty z Planetoid stojące czujnie z wyciągniętą bronią.

Olbrzym popatrzył na nie z pewną dozą pogardy, po czym złożył swoje wielkie ręce i powiedział:

— Jestem Kaliban, Władca zna mnie, ponieważ to ja trzymam miejscowe szczury w ryzach. Powiedzcie mu, że Kaliban przynosi dobre wieści i chciałby uzyskać audiencję.

Jeden ze strażników wyszedł za drzwi, by upewnić się, że Kaliban jest sam. Następnie wprowadził mężczyznę do środka i zamknął za nim wrota, które oddzielały Tza-Necrosa od szumowin grasujących w tunelach Podmiasta.

Jeden ze strażników pozostał na swoim posterunku, podczas gdy drugi poprowadził Kalibana labiryntem marmurowych korytarzy do kolejnych

zamkniętych drzwi. Kazawszy Kalibanowi zaczekać, strażnik otworzył drzwi i przeszedł przez nie, zamykając je za sobą.

Ale w czasie tej krótkiej chwili do uszu Kalibana dotarły gwałtowne wrzaski – przekleństwa wyryczane głosem, który zawstydziłby nawet byka; bezeceństwa i bluźnierstwa z dziesięciu planet wydobywające się z ust człowieka ogarniętego szałem.

Kaliban zmarszczył brwi. Dobrze znał ten głos. Tza-Necros był, delikatnie mówiąc, w nienajlepszym humorze. Irytacja Kalibana z powodu takiego obrotu sprawy była oczywista. Nie obchodziło go to, kto padł ofiarą gniewu Tza-Necrosa. Ale w głowie zaczęła krążyć mu myśl, że Władca nie będzie w nastroju do robienia interesów.

Gdyby Tza-Necros był w dobrym humorze, nie wahałby się zapłacić stu tysięcy credas za tak wspaniały obiekt pożądania, jakim była ziemska dziewczyna o jasnej cerze. Kaliban dobrze o tym wiedział. Lecz w obecnym nastroju Tza-Necros był zupełnie nieprzewidywalny. Mógłby nawet posunąć się do tego, że kazałby zabić Kalibana na miejscu, bez żadnego specjalnego powodu.

Marszcząc czoło, olbrzymi przywódca Podmiasta odwrócił się od drzwi i zaczął wycofywać się po własnych śladach. Najchętniej wróciłby do tuneli i przeczekał burzę. Ale nie zdążył zrobić nawet dziesięciu kroków, gdy drzwi się otworzyły i strażnik zawołał:

— Hej ty, zaczekaj! Dokąd idziesz? Tza-Necros nakazał abyś wszedł do sali tronowej.

Z niechęcią Kaliban zawrócił, przeklinając siebie za opieszałość i oddając duszę diabłom Neptuna. Z podniesioną głową wmaszerował do sali tronowej, spodziewając się najgorszego.

Gdy drzwi zamknęły się za nim, stanął jak wryty na widok, który roztaczał się przed jego oczyma. Tza-Necros stał na podeście w centrum wielkiej Sali, wymachując swymi czterema pięściami, z rękoma uniesionymi w gniewie, ponad paskudną głową. Po obu jego stronach stał rząd strażników o zastygłych twarzach, którzy stali bez ruchu, z oczyma utkwionymi prosto przed siebie.

Na podłodze przed podestem leżała naga, złota dziewczyna, której piękno zapierało dech w piersiach; piękno, które można było dostrzec nawet poprzez lejącą się krew i ślady brutalnej chłosty, której była poddawana.

Gdy Kaliban wszedł do pomieszczenia, biczujący oprawca, krzepki marsjański góral, cofnął się i przejechał biczem po zamkniętej dłoni, aby oczyścić go z krwi.

Kaliban zauważył, że nie była to tylko krew dziewczyny. Nieopodal leżało nieruchome ciało Ziemianina, a Kaliban ze zdziwieniem zauważył, że na plecach leżącej postaci widnieje oficjalna uprząż tajnych służb Darriena. Szybki rzut oka powiedział Kalibanowi, że człowiek ten został pobity na śmierć. Dziewczyna jednak jeszcze żyła.

Gdy Kaliban pojawił się w środku, Tza-Necros skinął dwoma rękoma i krzyknął.

— Podejdź bliżej, Kalibanie! Przybyłeś w odpowiedniej chwili. Mam prezent dla ciebie i twoich podziemnych szumowin.

— Prezent, mój panie?

— I to rzadki. Ta niewierna wiedźma jest obrazą dla moich oczu. Zabawiała się z kochankami, pod moim nosem. Zdradzała mnie po tym, jak złożyłem u jej stóp skarby wszechświata. Na początku myślałem, że ukoi mnie widok tej podłej małej suki wychłostanej na śmierć, ale to nie wystarczy i twoje przybycie podsunęło mi pewien radosny pomysł.

— Jestem na twoje rozkazy, mój panie.

— A więc, zabierz ją ze sobą do tuneli i nasyć się nią tak, jak tylko taki chwacki młodzian jak ty, mógłby to zrobić.

— Mogę tylko uważać się za szczęściarza.

Tza-Necros uniósł dłoń.

— To nie wszystko. Mam dodatkowy warunek, mój wierny łotrze. Kiedy z nią skończysz, rozkazuję ci odszukać najbardziej odrażające z twoich stworzeń i wymyślić dla niej dodatkowe tortury. I niech zemsta Tza-Necrosa będzie widoczna dla wszystkich. Zabierz ją.

Kaliban wystąpił krok naprzód i podniósł nieprzytomną Margot, kładąc ją na swoje ramię.

— Dziękuję ci, mój panie — powiedział i odwrócił się, aby opuścić salę tronową.

Zatrzymał go jednak w pół kroku, głos Tza-Necrosa. Władca, obecnie już nieco wyczerpany swoją wściekłością, przesunął dłonią po czole.

— Zaczekaj, dopóki cię nie zwolnię — oznajmił. Potem łagodniejszym, lecz nadal pełnym irytacji głosem. — Coś tam jeszcze było. Niech to wszyscy diabli! Ale po tych wszystkich pogłoskach o promieniach, które mają oczyścić Podmiasto, o promieniach, które mają powstrzymać Ziemian i tej sprawie z Margot, która współżyła z dwoma kochankami naraz – nie mogę zebrać myśli. Ale coś jeszcze było.

Nastąpiła chwila głuchej ciszy, po której Tza-Necros powiedział:

— A tak, oczywiście – twoja sprawa. Nie znalazłeś się tu przecież przypadkiem. Co cię sprowadza z dolnych tuneli? Czy pojawiły się jakieś kłopoty – niepokoje?

— Nie, mój panie. Miałem sprawę, ale jest ona błaha. Nawet bym nie pomyślał, żeby zawracać ci nią głowę w takiej chwili, gdy zostałeś tak bardzo ugodzony przez ludzką niewdzięczność. To może poczekać.

— Jesteś dobrym człowiekiem, mój Kalibanie. Przyjdź jutro, a każę przygotować dla ciebie dzban wina.

Kaliban wyszedł tak, jak wszedł i został przywitany z otwartymi ustami, przez zdumionych strażników. Odkąd pamiętali, po raz pierwszy widzieli człowieka, który wychodził stąd niosąc na ramieniu piękną, całą zlaną krwią, dziewczynę. Zamknęli wrota za Kalibanem i stali, paplając coś między sobą.

Kaliban nie był szczęśliwy. Daleki od zadowolenia z rozwoju wydarzeń, szedł powoli tunelem, nie zwracając uwagi na dziewczynę, którą niósł. Zastanawiał się, co to za pogłoski o promieniu, który ma wybić ludność Podmiasta. Kaliban nie przejmował się problemami między Ziemią a Wenus. Był zadowolony z życia w Podziemiu i tutaj właśnie leżała jego lojalność oraz interesy. Zastanawiał się nad tymi strzępami informacji, które Tza-Necros przekazał mu w swej tyradzie i stwierdził, że nie są to

żadne informacje. Oczywiście dziewczyna na ramieniu Kalibana nie dochowała wierności Tza-Necrosowi, i Kaliban nie miał jej tego za złe. Ale czy część gniewu Tza-Necrosa, nie była spowodowana jakąś zdradą innej natury? Kim był ten Ziemianin, który leżał martwy na podłodze w sali tronowej? Ewidentnie był to funkcjonariusz tajnych służb.

Kaliban pokręcił głową z zakłopotaniem i ruszył w dalszą drogę.

VIII

Tanton był w opłakanym stanie. Najwyraźniej ucierpiał w wyniku brutalnego ataku, podczas którego użyto broni znacznie bardziej niszczycielskiej niż bicz. Twarda, podobna do skorupy okrywa, którą wszyscy niebiescy Merkurianie mają zamiast skóry, pękła w trzech miejscach. Zielona ciecz życiowa krążąca w jego żyłach, wypływała swobodnie z tych ran, a także z nosa i ust.

Gdy Ron wyciągnął go na światło, Tanton otworzył oczy i głęboko westchnął.

— To było świetne widowisko, póki trwało — stwierdził znużonym głosem. — Puściłem mu szybką gadkę, ale Tza-Necros poszedł całkowicie w zaparte i nie chciał uwierzyć w cokolwiek. Valcan został zabity i pewnie Margot też, z tego co wiem. Merkurian o wiele trudniej zabić, więc zostałem pozostawiony na rozżarzone haki i doły ognia.

Uniósł rękę do swej poturbowanej głowy, a potem zauważył konsternację i zdumienie Rona i Glory.

— Nie macie najmniejszego pojęcia, o czym mówię, co? Cóż – to nie robi żadnej różnicy. A tak przy okazji, co się z wami stało?

W kilku słowach Ron opowiedział mu, na co Tanton ponownie westchnął.

— Nie potraficie nawet przejść tunelem, żeby nie wpaść w kłopoty, co? Na szczęście, to i tak nie ma już znaczenia. Za dwadzieścia cztery godziny wszystko będzie załatwione na cacy. Wygląda na to, że to konkretne zagranie kompletnie mi się nie udało. — Podniósł się do pozycji siedzącej. — Auć! Jeden z tych strażników użył żelaznej pałki.

— To… to znaczy, że nie ma nadziei? — głos Glory załamał się.

— Wszyscy siedzimy w tym samym miejscu — cierpko odparł Tanton. — Czy może widzisz jakąś?

Jego zgryźliwy nastrój został wygenerowany, nie przez strach przed tym, co wydawało się nieuniknione, ale przez świadomość, że porażka wielkiego Tantona została ukazana w pełnym świetle przed tą dwójką.

— Pomóżcie mi stanąć na nogi, dobrze? Chcę zobaczyć, w jak bardzo złym jestem stanie.

Gdy Tanton jęczał i wykręcał się stojąc, odgłosy na zewnątrz więzienia wzmogły się do poziomu ryku.

— Coś tam się dzieje — powiedział Ron. — Może idą po nas.

Odwrócił się, by stanąć twarzą do drzwi, z ręką wokół szczupłych barków Glory.

Drzwi otworzyły się po kilku chwilach gorącej kontrowersji na zewnątrz, i do środka wkroczył Kaliban, niosący na ramieniu Margot. Oczy Tantona rozszerzyły się. Bez zbędnych wstępów zapytał:

— Skąd ją masz?

— Dar dla mieszkańców Podmiasta od Tza-Necrosa — odparł Kaliban. Zmarszczył czoło i wydawało się że jego myśli uleciały gdzieś – równie daleko – jak mocno był w nich zatopiony. — Zamierzam ją przechować gdzieś na boku, dopóki nie rozgryzę tej całej sprawy. Jest w tym coś więcej niż się wydaje, na pierwszy rzut oka. Tza-Necros twierdzi, że ona nie była mu wierna, ale, jak powiedziałem, jest w tym coś więcej – dużo więcej - i wcale mi się to nie podoba.

Nikt nie zauważył, jak Tantonowi rozjaśniły się oczy, gdy spoglądał, jak Kaliban kładzie Margot na twardej podłodze. I oczywiście, żadne z pozostałych nie mogło wiedzieć, co się dzieje w jego ostrym jak rapier umyśle – który nawet w tej chwili formułował plany jak przekuć porażkę w zwycięstwo.

Glory, z okrzykiem żałości, upadła na kolana obok nieruchomej Margot i przytuliła głowę złotej piękności do swego łona.

Tanton zignorował je obie, a jego wzrok padł na Kalibana.

— Nie sądzę, bym miał tę przyjemność… — zagaił.

Tamten spojrzał na niego z pogardą.

— Nazywam się Kaliban. Mieszkam w Podmieście od dwudziestu lat. Kim jesteś i skąd pochodzisz?

Rod już otworzył usta, aby wkroczyć i przedstawić swojego przełożonego, ale szybki ruch ręki Tantona uniemożliwił młodemu agentowi wypowiedzenie tych słów.

— Jestem najemnikiem — odparł Tanton, a w jego głosie słychać było wyraźną nutę smutku. — Zdobywam informacje i zajmuję się ich sprzedażą, zarabiając credas, gdzie tylko się da. Ale teraz dotarłem do kresu mojego losu.

W głosie Kalibana zabrzmiała pogarda.

— Och… informator. I Tza-Necros skazał cię na śmierć?

Tanton westchnął jakby w rezygnacji.

— To prawda, ale nie będę cierpiał w pieczarze ognia. Umrę tutaj, w tej dziurze, razem z resztą mieszkańców Podmiasta. Za dwadzieścia cztery godziny w Wenusji, pod ziemią nie pozostanie już ani jednej żywej istoty.

Kaliban chwycił przynętę i pożarł ją – połknął w całości. Ruszył groźnie w stronę Tantona.

— O czym ty mówisz, Niebieski człowieku? Czy wiesz coś o promieniu, który zniszczy całe życie w Podmieście?

Tanton był wyraźnie zaskoczony – a przynajmniej tak wskazywały jego rozszerzone oczy.

— Wygląda na to, że bardzo dużo wiesz, Kalibanie. Mogę spytać…?

Ogromny Ziemianin zmarszczył znacząco brwi.

— Mam swoje własne źródła informacji. Mam też uszy i oczy.

Tanton wykonał gest, jakby chciał się odwrócić.

— W takim razie nie ma niczego, co mógłbym ci powiedzieć, poza tym, że uważam, iż obaj powinniśmy zrobić to, co dyktuje miłosierdzie.

— Co masz na myśli?

— Zachować naszą wiedzę dla siebie. Wzniecanie paniki w Podmieście, poprzez mówienie ludziom prawdy, nie przyniesie nic dobrego. Jeżeli już muszą umierać, to niech umierają spokojnie, nie wiedząc, co ich spotyka.

Kaliban zrobił krok naprzód i chwycił Tantona szorstko za ramię.

— Chcesz powiedzieć, że mamy tu siedzieć jak szczury w pułapce, czekając na śmierć?

— A co innego można zrobić?

Kaliban odsunął na bok wszelkie pretensje.

— Wiesz o wiele więcej niż ja – opowiedz mi wszystko.

Tanton obmacywał swoją pękniętą łuskę na ramieniu.

— Nie ma tego zbyt wiele. Wiesz, oczywiście, że Darrien dawno temu już poprzysiągł sobie oczyścić Podmiasto. Ale dopiero niedawno znalazł sposób na to jak to zrobić – trujący promień, który zostanie skierowany w wejście do Podmiasta – wejście, które znaleźli jego ludzie – promień, który dotrze do każdego najodleglejszego zakamarka tych podziemi i nie pozostawi przy życiu nic, nawet najmniejszego mikroba. Mówię ci, że kiedy Darrien się tu przebije, Podmiasto będzie najbardziej sterylnym miejscem we wszechświecie.

— A ty, skąd ty to wszystko wiesz?

— Zdobywanie takich informacji to moja robota. W tym przypadku przekupiłem wysokiego urzędnika Tajnej Policji Darriena – obiecałem mu wielkie bogactwo, gdy Tza-Necros usłyszy jego historię. Człowiekiem, którego sprowadziłem do Podmiasta był sam szef Tajnej Służby – Valcan.

Kaliban zacisnął swą wielką pięść. Oczywiście! Ziemianin, którego widział leżącego martwego u stóp Tza-Necrosa. Jego twarz wydawała mu się znajoma. Teraz już wiedział! Tym człowiekiem był Valcan.

— Co się stało? — dopytywał się Kaliban.

Tanton wzruszył ramionami.

— Popełniłem błąd. Nie miałem bezpośredniego dojścia do Tza-Necrosa. Mogłem dotrzeć do jego ucha tylko przez Margot, dla której kiedyś wykonywałem pewne usługi. — Tanton przerwał i pokręcił ze smutkiem głową. — Ale takie podejście okazało się fatalnym błędem, ponieważ Tza-Necros znalazł nas w apartamencie Margot i oskarżył nas o to, że jesteśmy jej kochankami. Zaciągnięto nas do sali tronowej i pobito. Valcan zginął pod biczem, a ja mam zostać upieczony na rozżarzonych hakach. Ale, tak jak powiedziałem, to się nigdy nie wydarzy, bo…

Kaliban machnął ze zniecierpliwieniem ręką.

— Przestań paplać — krzyknął. — Mówiłeś, że promień zostanie użyty w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin? Czy znasz lokalizację emitera?

— Tak, ale Tza-Necros nie chciał słuchać…

— Głupiec! — zagrzmiał Kaliban. — Głupiec o tępej głowie! Przez swą głupotę poświęci życie nas wszystkich.

— Wahałbym się, aby ująć to tak dosadnie, ale tak to mniej więcej wygląda. Teraz to już nie ma znaczenia. Gra jest skończona i została przegrana.

Kaliban stanął nad niebieskim człowiekiem i uniósł pięści.

— A kim ty jesteś, pozbawioną kręgosłupa meduzą? Proponujesz kulić się pod ścianą i czekać na śmierć?

— A co innego można zrobić?

— Walczyć, człowieku, walczyć! Jest tu dziesięć tysięcy istot – dziesięć tysięcy wojowników, którzy zbyt długo uginali karki pod butem Tza-Necrosa. Czy myślisz, że kiedy na szali legnie ich życie, będą bezradnie stali z boku?

W umyśle Tantona nagle rozkwitł wspaniały plan.

„Oczywiście, że tak! Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem?” — Jego oczy rozbłysły ogromną nadzieją. — „Widzę to teraz. Dziesięć tysięcy mieszkańców Podmiasta, którzy wyleją się na Wenus, nie tylko po to, aby zniszczyć emiter promieni, ale także aby pomścić sto lat prześladowań! To jest… to jest wspaniałe!”

Kaliban podszedł do drzwi i otworzył je. Jego potężny głos zahuczał, odbijając się echem po tunelach:

— Obywatele Podmiasta. Słuchajcie mnie! Przybądźcie i zbierzcie się wokół mnie, jeśli cenicie swe życie! Zostaliśmy zdradzeni i pozostawieni na śmierć! Wszyscy, którzy chcą walczyć o własne istnienie, przybądźcie i wysłuchajcie mnie.

W środku, Tanton zamknął drzwi. Potem podszedł do miejsca, w którym leżała odzyskująca przytomność Margot, i ukląkł obok niej.

— Dotrzymam słowa — obiecał jej. — Za kilka godzin znajdziesz się w drodze powrotnej na Ziemię. Sprawy nie potoczyły się dokładnie tak, jak planowałem, ale…

Przerwał swą przemowę, gdy Glory, która wciąż tuliła Margot, wydała przyciszony okrzyk zdumienia i przerażenia. Ron również zbliżył się i przyklęknął. Uniósł wzrok na Tantona z wyrazem kompletnej konsternacji, po czym ponownie opuścił go w miejsce, w którym Margot w magiczny sposób zmieniała się przed ich oczyma. Najpierw w kącikach ust i oczu dziewczyny pojawiły się zmarszczki. Potem jej całe ciało – wspaniałe, złote, piękne – zaczęło się widocznie kurczyć – wysychać i zapadać pod skórą, która robiła się szara i zwiędła.

Usta Margot – teraz stare i bezzębne – otworzyły się jak usta łapiącej powietrze ryby.

— Hormony — wykrztusiła. — Powinnam brać hormony… Ja…

Proces starzenia stał się teraz wyraźnie szybszy. Jak w jakimś obłąkanym montażu – młoda i piękna dziewczyna gasła, a jej miejsce zajmowała ohydna, pomarszczona starucha.

— Hormony — wydyszała.

Potem żałosne, stare usta otworzyły się i zwiotczały; pokryte siwizną, pozbawione wzroku oczy zastygły w upiornym spojrzeniu.

Szybko, Tanton wyciągnął rękę i zamknął te oczy na zawsze.

— Ona była bardzo stara, wiecie — powiedział cicho. — Miała dobrze ponad sto lat. Była młoda dzięki tajemniczemu hormonowi, którego dostarczał jej Tza-Necros. Bez niego, skazana była na zagładę.

— Ona… ona nie żyje! — Glory odetchnęła z przerażeniem. Przemiana z kwitnącej piękności w wyschnięty szkielet była tak szybka, że jej widok zmroził im krew w żyłach.

Tanton wziął pozostały strzęp ciała i zabrał go w cień.

— Żyła pełnią życia — powiedział. — Bardzo długiego życia. Ale mam wrażenie, że teraz jest szczęśliwsza niż kiedykolwiek przedtem. — Wrócił, z pustymi rękami, do siedzącej z szeroko otwartymi oczyma Glory. — Może ktoś powinien się pomodlić — mruknął, po czym odwrócił się w stronę drzwi, gdzie głos zebranego na zewnątrz tłumu huczał już z siłą grzmotu.

Drzwi otworzyły się i do środka wpadł Kaliban.

— Ruszyliśmy się! — krzyknął. — Jeśli wiesz, gdzie znajduje się emiter promieni, lepiej prowadź.

Tanton jednak wiedział, że to coś więcej niż nieistniejący promień śmierci było powodem tego wstrząsu. Jego kłamstwo stanowiło tylko zapalnik – kroplę, która przepełniła czarę i wywołała rewoltę. Prawdziwa motywacja leżała znacznie głębiej. To była nieodparta fala oburzonej godności ludzkiej – okropnych ludzi, to prawda, ale mimo wszystko ludzi – którzy ruszyli z furią, by wyrównać doznane krzywdy.

Tanton pamiętał jednak, gdzie pierwsze ziarna tej przemocy zostały zasiane – dawno temu w słowach wygłoszonych przez pompatycznego polityka: („Niech Wenus będzie naszą kolonią karną…”). W sumieniu niebieskiego Merkurianina musiało pojawić się drżenie, ponieważ powiedział sobie: Trzeba wyważyć dwa zła i zaatakować większe z nich, mniejszym. Wszystko jest efektem chciwości i głodu wśród ludzi, a ich chciwość i głód są jedyną skuteczną bronią, jakiej można użyć przeciwko nim. Aby pokonać mrok, trzeba użyć narzędzi mroku.

Potem ryk tłumu wzmógł się do jeszcze wyższego poziomu, i Tanton mógł wrócić do swoich spraw.

IX

Glory wyposażono w odpowiedni ubiór – oraz uprząż wojownika – i ruszyła wraz z Tantonem, Ronem i Kalibanem na czele kolumny, która zaatakowała brązowe wrota do podziemnego pałacu Tza-Necrosa.

Wrota zostały rozbite na kawałki, a fala dziwactw Wszechświata pokonała wszelki opór. Strzeżona przez krąg wojowników z Podmiasta, Glory widziała jak Tza-Necros – po wybiciu jego wewnętrznej straży - walczy jak dziesięć demonów, przyparty plecami do ściany.

Wokół niego leżały stosy wojowników Podmiasta. Bardziej śmiercionośna broń, jaką miał, zniknęła, a on sam chlastał otaczający go

karmazynowy pierścień krótkimi mieczami trzymanymi w każdej z czterech dłoni.

— Cofnąć się… cofnąć się, wy parszywe szumowiny! — ryczał. — Jestem waszym królem! Jestem waszym panem!

I naprawdę był ich panem aż do ostatniej, krwawej chwili, gdy promień z pistoletu zam obciął mu ręce, jedną po drugiej, czyniąc go bezradnym, krzyczącym maniakiem.

Wtedy szumowiny Wszechświata ruszyły na niego, by spłacić krwawy rachunek za lata bólu i wyzysku. Rozrywali go na strzępy, kawałek ciała po kawałku, zadając mu dzikie męki, aż jego ostatni krzyk zmienił się w bulgot, gdy życie opuszczało jego groteskowe ciało.

Jego ostatnie słowa zawierały zdumiewające błaganie:

— Jestem jednym z was… jednym z was… jednym z was. Miejcie litość.

A potem umarł.

Tłum, rozpalony nowym uczuciem wolności i zapachem krwi, przetoczył się przez pałac, rozbijając ogród Margot na kawałki, cegła po cegle. Potem ruszyli na górę do Wenusji, razem z innymi hordami wygnańców, którzy wylegli ze wszystkich wejść do Podmiasta, by szerzyć krwawe zniszczenie we wszystkich zakątkach miasta.

Zdumiona ludność Wenus wpatrywała się z przerażeniem w tę nagłą agresję z głębin; wielu z ludzi wpatrywało się zbyt długo i szybko zginęło, gdy uwolnione fale szaleństwa, pochłonęły ich i zniszczyły. Dowódcze mechanizmy policyjne miasta pogrążyły się w kompletnej panice i chaosie. Bardziej doświadczone Tajna Służba i Policja Miejska nie były w stanie funkcjonować z powodu paniki w społeczeństwie. Nie było miejsca na przeprowadzenie żadnego manewru, nie było szansy na zebranie się i właściwe rozmieszczenie sił, tak szalona była sceneria rzezi i tak szaleńczy atak.

Tanton, poruszający się na czele kolumny Kalibana, zręcznie utrzymał tego ostatniego przy głównym celu – emiterze promieni. Działając za pośrednictwem olbrzymiego Ziemianina, wykazał się umiejętnościami, których pozazdrościłby mu niejeden wielki generał. Ten człowiek naprawdę zdawał się być obdarzony nieograniczonymi talentami.

Dzięki jego zdolnościom dowódczym kolumna została zorganizowana i rozstawiona wokół szarego budynku, z wojskową precyzją. Atak na wszystkie wejścia rozpoczął się w jednej chwili. Drzwi zostały wyważone i Glory, Ron oraz Tanton znaleźli się wśród pierwszych napastników, którzy wtargnęli do środka.

Glory słyszała samą siebie, jak krzyczy, nawołuje, by było ją słychać przez zgiełk bitwy.

— Kaliban! Widziałam, jak upadł!

— Został rozcięty na dwie części przez pistolet zam — krzyknął Tanton. — Chodźcie tędy! Szybko!

Popchnął szorstko Glory w kierunku schodów, prowadzących na górne poziomy, i wskazał Ronowi, aby podążał za nimi. W głosie Tantona słychać było głęboką troskę, ponieważ, jak się wydawało, znów dopadł go pech.

* * * *

Na ulicach panowała panika i chaos, ale nie w budynku emitera promieni. Tutaj zgromadzona była śmietanka sił Darriena – wybrani żołnierze z całego Wszechświata, wyszkoleni i przygotowani tylko do jednego zadania – obrony emitera promieni za wszelką cenę.

Ich szeregi zostały nieco nadszarpnięte przez pierwszą falę oszalałych bojowników z Podmiasta, ale szybko się pozbierali i zabrali do roboty. Niczym maszyny zalewali falami śmierci napastników – jak nieubłagane roboty przeformowali swoje linie i odrzucili hordy Kalibana. I w tym działaniu Tanton wyczuwał swoją klęskę.

Dobrze wiedział, że wojownicy z Podmiasta zostaną pokonani. Gdy zorganizowane siły Darriena otrząsną się z zaskoczenia, przetoczą się jak walec parowy po oszukanych i wyprowadzonych w pole istotach z podziemi. Prawdę powiedziawszy – choć wymagać to będzie dużego rozlewu krwi i ciężkiej walki – będzie to koniec całego Podmiasta, ale Tanton zaryzykował, że wcześniej, w czasie tego przewrotu, uda mu się zrealizować swój cel. Teraz jego plany wydawały się być skazane na porażkę, gdy elitarna straż szarego budynku wypchnęła resztki żałosnej armii Kalibana na ulice i wzmocniła własne szyki obronne.

Ponieważ główne działania toczyły się na dole, Tanton nie znalazł nikogo, kto mógłby mu przeszkodzić, gdy wchodził wraz z dwójką Ziemian po schodach. Jego nadzieje rozkwitły na nowo na myśl, że może uda mu się osiągnąć cel przy pomocy działań o bardziej skrytym charakterze. Emiter na pewno znajdował się gdzieś w wysoko położonej części budynku. Być może ciągle można było się do niego dostać. Nawet elitarna gwardia Darriena mogła popełnić błąd, koncentrując się na pierwszej linii obrony na dole, i nie pomyśleć o niebezpieczeństwie infiltracji na tyłach swych szeregów.

Infiltracji udało się dokonać, a gdy trójka napastników wspinała się coraz wyżej, nie napotykając oporu, Tanton pozwolił w sobie rozgorzeć nadziejom na dobre.

Szybko znaleźli się na górze, na okrągłej platformie u wylotu schodów, tuż pod dachem budynku. Platforma otaczała olbrzymi otwór. Zbudowano tam stalową barierkę, która miała uchronić nieostrożnych przed upadkiem do wielkiego szybu, głębokiego na dwadzieścia pięter.

W samym środku tej pustej przestrzeni spoczywało zadanie Tantona: ogromna, srebrzysta rura emitera, zakotwiczona u dołu i ciągnąca się w górę, prawie aż do poziomu platformy. Położona w poziomie, rura pokryłaby ponad akr ziemi, a z jej zakrzywionego, srebrzystego wierzchołka strzelał niewidzialny promień, który można wręcz było usłyszeć gdy przechodził przez otwór w dachu, by okryć Wenusjan kotarą i wysadzić każdy pocisk poruszający się w kierunku planety.

Tanton nie był w stanie stłumić okrzyku triumfu, który wyrwał mu się z ust, gdy zobaczył stos dysków antygrawitacyjnych ułożonych po jednej stronie platformy. Z pewnością sam by nie mógł tego lepiej zaplanować. Przyjrzawszy się dachowi, podszedł do ściany i nacisnął dźwignię. Natychmiast kolejny fragment dachu odsunął się, tworząc wystarczająco

duży otwór, by można było nim swobodnie wydostać się na zewnątrz. Najwyraźniej platforma służyła również jako hangar dla strażników patrolujących niebo.

Tanton sprawnie wyciągnął na platformę trzy płyty. Ze stosu leżącego przy ścianie wziął i rzucił Ronowi i Glory po parze butów grawitacyjnych.

— Załóżcie je — zawołał do nich. — Potem weźcie płyty i czekajcie na mnie nad budynkiem. — Kiedy to mówił, sam założył parę butów. — Jak tylko dam sygnał — polecił Ronowi — wyślijcie wiadomość do ziemskiej eskadry w kosmosie, że emiter został zniszczony. I nie czekajcie na mnie. Po otrzymaniu wiadomości musimy się stąd szybko wynosić, bo inaczej zginiemy pod spadającymi bombami. Całe to miejsce zostanie zamienione w atomowy pył.

Ron pokazał Glory, jak kierować płytą antygrawitacyjną, balansując ciałem. Następnie wcisnął przełącznik i pokierował ją przez otwór w dachu. Szybko postawił buty na własnej płycie i podążył za nią.

Po tym, jak opuścili budynek, ale ciągle znajdowali się w zasięgu wzroku Tantona, nadeszła katastrofa w postaci kilkunastu strażników, którzy podkradli się po schodach i natarli na Tantona z trzech stron. Przybyli niemal bezszelestnie jak koty, ponieważ szybki rzut oka na sytuację ujawnił im problem. Niebieski Merkurianin był tutaj oczywiście po to, aby zniszczyć emiter. Dlatego uznali że muszą go schwytać, a nie zestrzelić, gdyż stał tak blisko krawędzi platformy, że łatwo mógłby wpaść do szybu.

Tanton, skupiony na swojej pracy, uniósł głowę i zobaczył skradających się ludzi – ale za późno.

Obracając się w ciężkich butach grawitacyjnych, usłyszał z góry głos Rona.

— Wytrzymaj! — krzyknął Ron. — Wracam, żeby ci pomóc!

W ciągu kilku sekund Tanton ogarnął sytuację, ocenił swoje szanse i podjął decyzję.

— Nie wracaj! — krzyknął. — Nie zdołasz mi pomóc. Zabierz dziewczynę i dajcie sygnał! To jest rozkaz!

Ron wyprowadził skośnie płytę z nurkowania i wtedy, na jego przerażonych oczach, Tanton dokonał swego ostatniego wkładu w bezpieczeństwo Ziemi.

Akurat w chwili, gdy dłonie strażnika wyciągnęły się, aby go pochwycić, jednym zamachem ręki odrzucił mężczyznę do tyłu i zrobił krok naprzód. Ponieważ miał na nogach ciężkie buty, był to bardzo powolny krok, ale pozostało mu jeszcze wystarczająco dużo czasu, aby zrobić kolejny.

Drugi krok zrobiony był już w pustą przestrzeń i Tanton runął w dół, w głąb szybu, aby rozbić własnym ciałem wielką rurę emitera promieni.

Nastąpiła głośna eksplozja, taka silna, że wyrzuciła Rona i Glory daleko w niebo. Kiedy płyty się ustabilizowały, Ron popatrzył z ponurą miną na bladą twarz Glory – zobaczył, że nic jej nie jest – i wyciągnął z torby niewielki nadajnik. Ustawił pokrętło i chwilę później jego głos odezwał się na pokładzie *California Queen*, flagowego okrętu ziemskiej Trzeciej Floty Kosmicznej:

— Ronald Kratnick – Wywiad Ziemski, do dowódcy eskadry. Parasol zniszczony. Parasol zniszczony.

Wiadomość wysłał dwa razy, po czym padło zdawkowe:

— Wiadomość odebrana

Ron nawet nie pofatygował się, by schować nadajnik. Odrzucił go od siebie i krzyknął do Glory:

— Wynośmy się, stąd – i to szybko! Prosto w górę!

W ciągu kilku sekund dotarli do szklanej kopuły Wenusji i teraz, po zniszczeniu projektora, mogli bezpiecznie przedostać się przez ten sam otwór w kopule, przez który wydobywała się wiązka promieni.

Lecieli dalej, ciągle w górę, aż wreszcie Ron nachylił się blisko płyty Glorii i założył jej na nos pojemnik z tlenem. Miał tylko jeden pojemnik i kiedy powierzchnia Wenus zniknęła w dole w mgle, a żar słońca zaczął palić im skórę, Ron poczuł, że robi się coraz lżejszy, a na jego umysł zaczęła opadać czarna kurtyna.

Zanim jednak zemdlał, pojawił się srebrzysty owal węzła cumowniczego *California Queen*, z ratownikami w kosmicznych strojach wyłaniającymi się z otworu włazu.

Ostatnią rzeczą, jaką Ron zapamiętał, było falowanie rozrzedzonej atmosfery, która burzyła się wokół niego, gdy wysłane przez flotę bomby eksplodowały na Wenus i wyrwały wielką ziejącą dziurę w czerwonych lasach planety.

* * * *

Wygody na pokładzie California Queen były tak znaczne, że pozwoliły szybko zapomnieć o okropnościach podziemnego miasta. Ron, siedzący w salonie i trzymający Glory za rękę, milczał od jakiegoś czasu. Glory popatrzyła na niego i uśmiechnęła się.

— Zamierzam odejść z Wywiadu — oznajmił Ron.

— To mnie odrobinę zaskoczyło — odparła Glory, — ale cieszę się – bardzo się cieszę.

— To z *jego* powodu.

— Nie rozumiem.

Ron uśmiechnął się, lecz w tym uśmiechu była spora doza smutku.

— Trudno to wyjaśnić, ale… no cóż, był mąciwodą, kłamcą, mistrzem intrygi i nie było rzeczy, której by nie zrobił, by osiągnąć swój cel. Ale ponad to wszystko, był wielki – to jedyne słowo, jakie przychodzi mi do głowy, by go opisać. Był gotów oddać życie za każdą sprawę, do której się przyłączył, a nie ma bardziej surowej próby dla człowieka, niż coś takiego.

— I to dlatego rezygnujesz, kochanie?

— Nie, to z tego powodu, że po tym jak zobaczyłam, w jaki sposób on działa, wiem, że nigdy nie będę lepszym agentem niż drugorzędnym. Obok Tantona, byłem jak dziecko we mgle, a ja w niczym nie chcę być drugorzędny. Skoro nie mogę być najlepszy, rezygnuję.

Jego uśmiech pogłębił się.

— Wiesz – wydaje mi się, że byłbym świetnym farmerem. W zasadzie myślę, że mógłbym zostać farmerem nie mającym sobie równych.

Po tym jak ją pocałował, Glory powiedziała:

— To cudownie, kochanie. A ja myślę, że mogłabym być najlepszą żoną farmera we wszechświecie.

KONIEC